Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Cena numeru pojedynczego **30** groszy.

Prenumerata krajowa kwartalnie 1·80 zł półrocznie 3·60 zł

Prenumerata zagran. kwartalnie 40 półr. 80 centów am.

Konto P. K. O. w Krakowie Nr 406.000.

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm szerokość 1 szpalty na ostatniej stronie 15 gr, na innych 50% drożej.

Adres redakcji i administracji: **ul. Zyblikiewicza L. 5/7, m. 55.**

Godziny urzędowe codziennie od 1—3

Nr 3. | **Kraków, 1 marca 1926 r.** | **Rok I.**

LITERATURA A DZIENNIKARSTWO

Degrengoladą literatury nazwał przed paru dniami w publicznym odczycie jeden z wybitnych literatów i publicystów fakt, że dzisiejsza literatura weszła w najbliższy kontakt z dziennikarstwem.

Zarzut opiera się na przesłankach prawdziwych. Większość współczesnych literatów polskich jest dziennikarzami, literatura coraz częściej przemawia ze szpalt gazetowych; czytający te słowa ma właśnie w tej chwili w ręku organ literacki, wyłącznie sprawom sztuki poświęcony, dla którego świadomie ściśle gazetową formę obrano. Czemu?

Stanęliśmy w ostatnich latach wobec faktu, że artystyczny towar literacki nie znajduje odbiorców. I nie wskazujemy tu tylko na zmniejszoną pokupność publikacyj artystycznych, na to, że tomy poezyj i literackie czasopisma drzemią w pakach magazynów księgarskich, ale na zjawisko bodajże smutniejsze i znamienne, że dzieła o charakterze ściśle literackim nie są czytane.

Powszechnie zwalano winę i ciskano pochopne gromy potępienia na jednę tylko lub drugą stronę — na literaturę za jej urojoną zazwyczaj niezrozumiałość lub na czytającą publiczność za jej — również rzekome — skołtunienie.

A nie zapytano się, czy szczególniejsze warunki chwili, nie nakazują jednak zmienic choćby w części i przejściowo form, w jakich się szerokiemu ogółowi dzieła sztuki podaje.

Człowiek zmęczony, zdenerwowany, żyjący z dnia na dzień, od 1-go do 1-go, maltretowany przeróżnemi kłopotami codziennemi, wyprowadzany co chwila z równowagi senzacjami i skandalami życia publicznego i prywatnego nie jest dziś w stanie oderwać się od tych kwestyj, skupić się, zasiąść w spokoju dla delektowania się skarbami intellektu i uczucia.

A przecież — trzeba, aby się on i tą dziedziną życia interesował, przecież dla człowieka inteligentnego sfera zainteresowań nie może się wyczerpywać na kłopotach i przyjemnostkach życia codziennego, a z problemów natury ogólnej na kwestjach politycznych, społecznych i ekonomicznych. W sferę zainteresowań człowieka kulturalnego wchodzić muszą ex definitione także zagadnienia artystyczne, kulturalne, literackie.

Jak te dwie sprzeczne a prawdziwe tezy pogodzić? Kompromisem.

Dźwięk tego słowa razi może niejednego; może zechce kto w sensie dla nas nieprzychylnym zeń skorzystać; nie wstydzimy się go jednak. W artykułach wstępnych pierwszych dwóch numerów pisma opowiadaliśmy się za tendencyjnością literatury; pozostajemy przy tej zasadzie. Sztuka ma być i zwiastunem i nauczycielem; winna — nie uginać się przed oportunizmem snoba, lecz ekscytować go i podnosić ku swoim wyżynom. Tylko, że jak nauczyciel — jeśli chce, by go słuchano, musi mówić językiem dla uczniów dostępnym, a wydawca popularnej powieści, która ma być rozrzucona (przypuśćmy) w setkach tysięcy egzemplarzy, nie może jej wydać w kosztownej szacie zewnętrznej — tak i literatura, jeśli chce odzyskać swych dawnych wyznawców i zdobyć nowych, jeśli chce (a powinna!) dążyć do tego, by ogół interesować i poruszać, niechajże niektóre ze swych środków oddziaływania przystosuje do obecnych, oby przejściowych warunków.

Dzisiejszy przeciętny człowiek inteligentny książek (poza lekką belletrystyką) nie czyta. Literaci wiedząc o tem, a chcąc trafić do publiczności, urządzają autorskie wieczory, a niektórzy (wiemy którzy) polemiczne odczyty o charakterze wręcz demagogicznym i wiecowym. Dzisiaj nie czyta się nic prócz gazet. Wydawcy pisma literackiego, chcąc, by je nietylko kupowano — ale i czytano, winni więc obrać formę gazetową i to w pełnem tego słowa znaczeniu, a więc łącznie z tytułem, formatem, układem i podziałem treści na artykuł wstępny, artykuły ideologiczne, feljeton, kronikę i inne działy — i łącznie z ceną.

Pismo, które czytelnicy mają w ręku, na takich właśnie założeniach jest oparte; forma jego nie jest więc przypadkową, ale świadomą i obmyślaną, jest formą dla czasopism literackich zdecydowanie nową, może wręcz rewelacyjną.

Gdy więc literatura zbliżyła się do dziennikarstwa, nie dlatego, by miała obniżać swe loty, lecz by nawiązać utracony kontakt z szerokiemi sferami społeczeństwa, które na pewno pod względem artystycznym jeszcze nie wyjałowiały — czy w zjawisku, o którem mówi cytowany na wstępie tego artykułu, a mający wszelkie pozory słuszności zarzut, należy dopatrywać się cech szczególnie ujemnych? — Wątpimy.

KULT LITERATURY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI

(Rewelacyjny odczyt dra Marjana Szyjkowskiego, prof. Uniw. Karola IV. w Pradze)

Wykład prof. Szyjkowskiego, który streszczam poniżej, był dla mnie istną rewelacją, mimo, że oddawna utrzymuję kontakt z literaturą czeską. Nie wyobrażałem sobie bowiem, że wpływ polski na Czechosłowację jest aż tak rozległy i tak poważny:

Romantyzm polski nigdzie na świecie nie budzi tak żywego echa, jak w Czechach. Zaspakajając narodowe potrzeby, dostarcza on tam tego bohaterskiego, podniosłego tonu, jaki był niezbędny dla regeneracji narodowości czeskiej, tak okrutnie pogrzebanej przed wiekami pod Białą Górą. Romantyzm polski odegrał tedy w Czechach nader zaszczytną rolę, podsycając (wraz z gramatykami i historykami czeskimi) iskry uświadomienia narodowego, tlejące po zapadłych wsiach wśród ludu, przechowującego wiernie język ojczysty.

Falę przekładów z literatury polskiej rozpoczyna kanonik Sztulc — tłómaczeniem „Konrada Wallenroda", a kontynuują Sladek, Mokry, Hvězdosław i inni. „Pan Tadeusz" przełożony po wielokroć razy staje się obowiązkową lekturą szkolną. Sam Vrchlicki przekładem „Dziadów" stwarza rzecz kongenjalną.

Mniej obfite przekłady Słowackiego i Krasińskiego, wywołują nie mniej głęboki rezonans. Antol Stašek, tłómacz Słowackiego, uważa „Anhellego" za największe arcydzieło świata. Dr Antoni Steinauf, gorący panslawista, fanatyk Słowackiego, przeobraża się i promienieje, recytując oktawy „króla Ducha" własnego przekładu. Ci dwaj ludzie stale entuzjazmują się Krakowem i jego sztuką...

Kult Krasińskiego rozpoczyna Celakowský (przekładem Agajhana!). Franciszek Kvapil, którego historja literatury czeskiej nazywa epigonem polskiego romantyzmu, tłumaczy całego Krasińskiego. Wydaje on etnologję poetów polskich. Pierwszy z jej dwu tomów, które ukazały się dotąd, obejmuje romantyków, drugi Asnyka, Kasprowicza i Tetmajera, trzeci i czwarty objąć mają t. zw. „młodą Polskę" i poetów współczesnych aż do Zegadłowicza i Tuwima włącznie. Tłumaczoną przezeń „Nieboską komedję" wystawiono w najkrytyczniejszym momencie zatargu o Cieszyn i grano ją przez kilka lat z rzędu setki razy — a takiego sukcesu nie odniosła u nas nigdy. Sam prez. Masaryk napisał pracę o ideach „Nieboskiej komedji".

Bibljografja Mickiewicza wydana przez E. Jelinka, fanatycznego wielbiciela Polski, zawiera 160 nazwisk tłumaczy. Od tego czasu przybyło wiele nowych przekładów, nad których zestawieniem pracują uczniowie prof. Szyjkowskiego. Z innych poetów polskich przełożono Zaleskiego (Rudolf Pokorny), Syrokomlę, Malczewskiego i Ujejskiego (Jan Nečas), Asnyka i Konopnicką (Paola Maternova).

Sienkiewicz zawędrował pod strzechy. Dziełami jego zawalone są witryny księgarskie, portrety jego wiszą w prywatnych domach, a spotyka się cytujących z pamięci całe fragmenty z jego powieści.

Vondraček, którego prof. Szyjkowski nazywa szowinistą polskim — ma za sobą 80 tomów przekładów z naszego języka. (Ostatnio zwrócił się on do Żeromskiego z prośbą o prawo tłumaczenia „Przedwiośnia", na co tenże zgodził się, zastrzegając sobie pewne zmiany).

Czesi nie zapominają także o naszej twórczości dramatycznej, tłumacząc i wystawiając ze „starych" Fredrę, Korzeniowskiego i t. p., a z nowych Zapolską, Szukiewicza, Winawera, Kiedrzyńskiego i wielu innych. Wyspiańskiego przełożyli Borycký i Černý.

Z pomiędzy pisarzy polskich w najbliższych stosunkach osobistych z Czechami pozostawał Przybyszewski, którego wpływ sięgnął aż do najgłębszych pokładów duchowych i ogarnął najszersze warstwy tego narodu. Jest on tam tak popularny i tak znany, że istnieje anegdota o pewnym golibrodzie praskim, który poznawszy go nie chciał wziąć odeń zapłaty. Rozmowa Masaryka z prof. Szyjkowskim rozpoczęła się pytaniem, czy Przybyszewski podziałał równie potężnie na literaturę polską, jak na czeską. Odpowiedź oczywiście musiała wypaść przecząco.

Otokar Březina (kandydat do nagrody Nobla) twierdzi, że literatura polska stanęła na szczytach doskonałości i widzi w arcydziełach jej czystość i siłę, niespotykaną w literaturach innych narodów. Całe społeczeństwo czeskie podziela — jak się zdaje — ten pogląd, skoro pogrzeb Sienkiewicza zmienił się tam w płomienną manifestację, a w jednej z uroczystych akademij, urządzonych w Pradze ku czci Żeromskiego i Reymonta, wzięła udział młodzież szkolna zwolniona z nauki. Prof. Machal na studjum słowiańskiem przy uniw. praskim (jest ono jedyne w Europie i wzorowo urządzone), od 10 lat daje uczniom swoim referaty z dzieł Żeromskiego.

Słusznie tedy skarży się prof. Szyjkowski na brak zainteresowaniu się w Polsce literaturą czeską i zachęca nasze uniwersytety do gruntowniejszego zajęcia się twórczością takich zwłaszcza jej przedstawicieli, jak Čapek (znany u nas ze źle wybranej sztuki R. U. R.), Březina i Karasek. O tym ostatnim, wiernym i nieustraszonym wielbicielu literatury polskiej, znanym już Polsce z „Życia" i „Chimery" pisał niedawno Przybyszewski w entuzjastycznych artykułach.

Prof. Szyjkowski przekonał nas, że niezależnie od przelotnych konjunktur politycznych, przepływa — poza niemi — głęboki nurt odczucia, zrozumienia i sympatji, z jaką odnoszą się do Polaków i do literatury polskiej najszlachetniejsze, najbardziej kulturalne sfery czeskie.

Jan Sztaudynger.

Nr 3 „Gazety Literackiej"

zawiera:

Literatura a dziennikarstwo — artykuł wstępny.
O wiarę w człowieka — *Adam Polewka.*
Epidemja stylowości — *Cezary Jellenta.*
Mój ojciec i mój teatr — *Janusz Stępowski.*
Jean Cocteau — Le Potomak — *Juljusz Feldhorn.*
Kult literatury polskiej w Czechosłowacji — *Jan Sztaudynger.*
Merkury — bóg literatury.
Człowiek współczesny.
Złodziej snów — *Bronisław Borkowski.*
Z teatru — *Jarosław Janowski.*
Wiersze *W. Zechentera i L. Kruczkowskiego.*
oraz działy aktualne i informacyjne.

LEON KRUCZKOWSKI

CEZAREGO BARYKI ELEGJA

NA ŚMIERĆ STEF. ŻEROMSKIEGO

„Długo leżała bezsilna głowa
nad pustynią przeraźliwą, która
się przed nią rozchyliła..."
(Przedwiośnie, II.)

Niewiele słów dobędę, jak ziemia szarych —
Ja — tysiączny Baryka, najmłodszy z Ce-
[zarych!

Jako o śmierci ojca, wiem o śmierci Twojej!
O, czemuś mnie opuścił, w przeddzień mojego
[znoju?

Ku ostatecznej Rzeczy obrócony twarzą
Odszedłeś!
Już Cię nie będą siec wichry, które mi serce
[obnażą!

Już mnie miłować nie będą Twe oczy, źrenice
[troski —
W powietrzu polskiem się łamie mój śpiew
[synowski!

„Leżała bezsilna głowa nad przeraźliwą pu-
[stynią..."
Dałeś krew sercu memu, a cóż ja dla serca
[uczynię?

Lecz jutro — wiem — będę miał serce
[niechwiejne!
Hetmanie!
Na grobie Twym legła chorągiew, którą
[podejmę!

OD WYDAWNICTWA

„Gazeta Literacka" zwiększyła już znacznie nakład i może zapewnić wiele korzyści ogłaszającym się. Pomimo zwiększenia nakładu, a co za tem idzie, większych kosztów wydawnictwa i wzmożonej poczytności — ceny ogłoszeń nie ulegną jeszcze w najbliższym numerze zmianie. Prosimy zatem o spieszne nadsyłanie tekstów ogłoszeń.

Wpłaty na konto czekowe „Gazety Literackiej" Nr 406.000 uskutecznić można zarówno rozsyłanemi przez nas blankietami nadawczemi z wydrukowanym Nrem konta, jak i blankietami bez nadruku, które otrzymać można w każdym urzędzie pocztowym. Na blankietach tych należy wypisać własnoręcznie Nr 406.000 (cyfra łatwa do zapamiętania) i nazwę pisma.

BRONISŁAW BORKOWSKI

ZŁODZIEJ SNÓW

I.

Z ogrodu, rozkołysanego wiatrem zapach jaśminów wydobywał się, jak z rozwahanej, ogromnej kadzielnicy. Księżyc coraz to wtulał w chmury swą mglistą, jaśniejącą głowę — a wtedy czarne cienie drzew na srebrnych alejach odrysowywały się mniej wyraźnie.

Atanazy wspiął się na palce i uchwycił mocno za framugę okna. Z niezrównaną wprawą otworzył je i bez szelestu, jak kot na łowach, wdrapał się na nie, wstrzymując oddech i dwoje zaczajonych uszu wysyłając na zwiady.

Chwila napięcia zastygła tak, jak on nieruchomo na parapecie okna. Strączki akacji szemrały cichutko na wietrze, aromat wlewał się do pokoju łagodną, ciepłą falą. Oczekiwanie wypełniło przestrzeń.

— Jest... — szepnął.

Istotnie, z głębi pokoju dobiegało miarowe, przewlekłe sapanie.

Błękitnawa mgła księżycowa otulała kontury przedmiotów. Ktoś spał we wnętrzu wielkiego, śmiesznego pudła, zwanego domem, w labiryncie stołków, dywanów i luster.

Cienie drzew zadrżały, zachwiały się na posadzce, a w ten niespokojny deseń skoczył bezgłośnie niesamowity starzec Atanazy, jak sprężynowy pajac. Skoczył tak, że nie zaskrzypiała nawet podłoga, poczem skulił się i skradać począł ku łożu śpiącego, omijając jak nietoperz zastawione sidła stoliczków i krzeseł.

Sapiący oddech był tuż, o parę cali od jego ucha. Atanazy zarzucił na głowę śpiącego siatkę, utkaną jakby z pajęczyny, siatkę tak lekką, że zdmuchnąć ją w ogród łatwiej byłoby, niż zgasić świeczkę na wigilijnem drzewku.

Czuł i widział nieomal, jak sny nieznajomego człowieka, parując z rozgrzanego mózgu przez czaszkę, zatrzymują się w oplotach siatki i osiadają na niej, jak kryształy.

Po wielu, wielu minutach podniósł siatkę i zmiąwszy ją, ukrył w zaciśniętej garści. Z tą samą nieludzką zręcznością, z jaką lawirował, skradając się ku łożu wśród sprzętów, teraz wycofał się ku oknu i wyskoczył przez nie.

Czarny nietoperz wleciał do pokoju przez otwarte okno i szum jego obudził śpiącego, któremu wszystkie sny uciekły nagle z głowy, jak wypłoszone ptaki...

II.

Tak, Atanazy kradł sny cudze, a kradł je z tego prostego powodu, że jemu samemu od kołyski aż po dzień dzisiejszy nigdy się nic nie śniło. Powód to chyba dostateczny, zwłaszcza, gdy się jest starcem, gdy się powłóczy swoim ósmym dziesiątkiem lat jak ociążałym ogonem i gdy przez całe życie marzyło się o snach, jako o czemś cudownem, utęsknionem, a nieznanem.

Gdy rozważycie te wszystkie okoliczności łagodzące, nie będziecie chyba osądzać zbyt szorstko i zbyt bezlitośnie tego szalonego Atanazego za to, że był złodziejem.

Złodziej? O, tak. Nie wymijaj prawdy siwowłosy włamywaczu. Wiem, że błąkasz się co noc po mieście i na miękkich stopach podkradasz się pod drzwi i okna. Wiem, że wślizgujesz się do mieszkań ludzi śpiących i łowisz zaciekle, chytrze, nieubłaganie ich sny własne, ich sny falujące od tajemnic, których — zaiste — nikomu podpatrywać się nie godzi. Wiem, że znosisz je tysiącami do twojej upiornej izby na poddaszu i chowasz je do wielkiej, okutej skrzyni.

I zwinięty w kłębek obok niej na podłodze, słuchasz aż do bladego świtu, jak gra jej przedziwne wnętrze, jak szumi i przewala się ten ul olbrzymi, to rojowisko snów głupich i snów mądrych, snów radosnych i smutnych, snów dzikich i rozkochanych. I tobie samemu, starcze Atanazy, zdaje się wtedy, że śnisz. Obrazy przelotne i chwiejne wylewają się przez wszystkie szczeliny czarodziejskiej skrzyni i gnają, gnają oszałamiającym pędem, bijąc cię po oślepłych z olśnienia oczach, trzepotem swoich kolorowych skrzydeł.

A potem zbliża się dzień ironicznie milczący i spogląda na was zdaleka... na ciebie i na skrzynię, w której szlocha i miota się wiele tysięcy snów zrzuconych na jedno straszliwe rumowisko.

III.

Otóż raz Atanazy podkradł się do tapczanu bladego, czarnowłosego chłopca, który śnił z otwartemi oczyma, a źrenice jego jarzyły się, jako dwie fosforyczne latarnie. Podkradł się chyłkiem i zdradliwie, jak zawsze, by zarzucić sieć na pulsującą, rozpaloną głowę. Gdy to czynił, nie wiedział wcale, że blady, dyszący chłopiec śnił o dziewczynie, którą kochał.

Atanazy złowił sen, jak motyla i... sen przerwał się w miejscu, które byłoby w życiu chłopca najcudniejszem zdarzeniem.

Bo gdy się kocha szczęśliwie, sen o niej jest jeno życzliwem dopełnieniem niebiańskiej czary. Ale gdy się kocha bez opamiętania i bez ratunku, a ona gardzi i odtrąca, sen taki, jak ten który skradł Atanazy, jest lawiną szczęścia, jest szaleństwem, jest wniebowzięciem.

A Atanazy przerwał sen i uciekł.

IV.

Tej nocy przed różowym świtem starzec Atanazy dotarł do drzwi swojej izby na poddaszu i wbiegł, oddechając pospiesznie i cisnął do skrzyni sen snów, sen brylant, sen — najświetniejszą zdobycz.

Domyślacie się, że był to sen bladego chłopca o niechętnej dziewczynie.

Atanazy śmiał się. Legł obok skrzyni i przywarł do niej rękami, ustami, ciałem. Uszy jego przybiła płonącemi gwoździami do jej ściany żądzą nieokiełznaną.

— Śnij mi się — syczał — śnij mi się, śnie kochanków.

A skrzynia huczała i jęczała ponuro od buntu snów uwięzionych.

Wtedy drzwi izby rozwarły się z łoskotem i wbiegł chłopiec. Oczy jego błyszczały, a rozpacz skrzywiła mu usta.

— Oddaj mi sen! — krzyknął.

— Precz!.. precz!.. — wybełkotał Atanazy.

— Oddaj mi sen złodzieju! Całą noc śledzę cię i oto cię odnalazłem. Oddaj mi moje najcudniejsze zdarzenie, moją najpiękniejszą przygodę — bo cię zabiję, ty bezzębny złoczyńco!..

Nie, Atanazy nie chce oddać snu. Z pazurami idzie na napastnika, warcząc. Przed oczyma widzi mgliste kłęby, a słyszy tylko jakieś głuche dzwony i świst wiatru, bijącego o szyby.

Blady chłopiec, chłopiec z rozwichrzoną głową, zamachnął się i uderzył. Szkielet człowieka obciągnięty zeschłą skórą, zatoczył się wstecz i upadł na skrzynię. Czaszkę o kant!...

Rozbił...

Zawyło, zadygotało, zawrzasło. Buchnęły sny czerwonym słupem w sufit, rozłupując w drzazgi skrzynię. Jak potężna detonacja rozsadził ich bunt maleńką izbę na poddaszu, wyleciały z brzękiem szyby i drzwi wypadły z zawiasów. Runęły przez dach, przez ściany we wszystkie strony sny dzikie i sny radosne, sny ponure i sny oszalałe.

A obok starca Atanazego, rzucony o ścianę spał blady chłopiec z rozwichrzoną głową i śnił swój wielki cudny finał snu o dziewczynie, snu, który już nie skończy się nigdy.

EPIDEMJA STYLOWOŚCI

Ze wszystkich pasorzytów, podgryzających nasze teatry dramatyczne, najbardziej zamaskowany, a więc i najwięcej szkodliwy jest bakcyl stylowości.

Powstał on ze snobizmu drugiego stopnia. Snobizm pierwszego stopnia to potrzeba ocierania się o żywych artystów, choć się ich duszy nie rozumie, a dzieł nie pojmuje. Snobizm drugiego stopnia — to żądza ocierania się o artystów już nieżyjących, głównie francuskich ale także i swojskich, polskich. Dowieść znawstwa stylów minionych w architekturze, w urządzeniu wnętrz, w kostjumach, pozach, ruchach i t. d., stało się szczytem ambicji dyrektorów i reżyserów. Zwłaszcza jeśli dany styl, a prawie każdy styl epoki byłej, jest właśnie takim — może spacerować po pokojach królewskich; w braku króla, może być książę, w braku księcia inna jakaś arystokracja. Snobizm stylizacyjny — to taki sobie niewinny, orderowy monarchizm. Artystki, występujące w sukniach z czasów Ludwika XIV lub XV, śnią, że są faworytkami — jak pani Pompadour, de Maintenon, Montespan, panowie aktorzy zaś upajają się wizją sławy Kondeuszów, kardynałów Richelieu, Mazzarinich i atmosferą burboniczną.

Oczywiście dla wskrzeszenia tego scenicznego legitymizmu trzeba koniecznie zgalwanizować i autorów, t. j. dramatopisarzów, którzy pisali dla swoich władców i błękitnokrwistych protektorów. Ale jak zrobić, żeby dzieła, zrodzone w martwem już dzisiaj gnieździe etykiety francuskiej lub angielskiej wieku siedemnastego i ośmnastego, mogły chwytać za serce widza polskiego z wieku dwudziestego, z doby przywrócenia Państwa Polskiego i z epoki napłynięcia plennego żywiołu włościańskiego i mieszczańskiego? Jak sprawić ten cud, żeby mumje bohaterów Moliera, Corneilla, Calderona lub Lope de Vegi zadrgały i przemówiły struną żywych dusz do słuchacza, który jest tak bardzo, tak głęboko, tak strasznie współczesny, jak my dziś wszyscy prawie jesteśmy? Jak dokazać tego dziwu, żeby powietrze, sztucznie zakonserwowane, przebrzmiałych dziejów, ustrojów i kast, zwyczajów i pojęć, było tlenem dla krwi ludzi żyjących, odżywiało ją i odświeżało?

Takiego cudu nikt nie dokona — żaden scenista. I dlatego wszystkie te wznowienia dawnych dramatów i komedyj dworskich i stylowych stają się coraz więcej niefortunnemi. Są to uschłe poczwarki. Robią na razie wielki gwałt w prasie, a nazajutrz kładą się do grobu.

Nie należy bowiem mniemać, że dusza jest jednoznaczna z peruką, żabotem i kryzą lub krynoliną. Fraki i fraczki mogą być autentyczne, przykładnie zachowane w skarbcach magnatów lub miłośników, lecz dusze już nie są autentyczne. Serca z przed lat dwustu nie biją już tętnem naturalnem, choć guziki na mundurach błyszczą może tak samo, jak przed rewolucją francuską.

U nas zaś ciągle i stale zachodzi ta pomyłka: parę spodni z dynastji Walezjuszów uważa się za parę duchów z owej epoki.

Jednak niema reguły bez wyjątków — Szekspir. Ten — oczywiście nie w komedjach — miał wgląd w nagie dusze, bez pantalonów i innych męskich czy damskich inekspymabli, i docierał do rdzenia istoty ludzkiej. Możecie je, panowie reżyserowie, ubierać w takie czy inne kroje i fasony, dusze te będą żyły, jakgdyby się narodziły bardzo niedawno albo nawet i dziś dopiero. Hamlet czy Otello, Juljusz Cezar czy Król Lear, Makbet czy Koriolan — to nie mumie i nie psychologiczne konserwy; to samo życie i sama prawda.

Lecz poza Szekspirem rzadko spotykamy misterjum prawdy i życia.

A ponieważ teatry tego nie rozumieją, więc boleśnie wysilają się na stylowość, mającą rzekomo tchnąć ducha w truposza — i muszą patrzyć, jak grubieją z dnia na dzień kurze na pustych krzesłach...

Epedemja stylowości idzie, oczywiście, w parze z daltonizmem wobec olbrzyma teraźniejszości; i dla dotkniętych nim — wiry i odmęty tworzącego się dzisiaj lub umierającego wczoraj — to coś niewiększego od foyer (ze stylowemi tapetami).

Gdy się formowała dzisiejsza burżuazja i inteligencja, niemal pół wieku temu, już wołali bracia Goncourtowie, że przecież teraźniejszość nie jest bynajmniej uboższą w tematy, niż świat grecki.

Czasami sympatyczny wypadek gromadzi aż kilka takich znamion protestu.

W ankiecie, przeprowadzonej przez tygodnik „Życie teatru", w sprawie teatru popularnego — zeszły się takie oto charakterystyczne opinie pisarzów różnych całkiem typów i grup. Wszystkie one zgodnie wołają o wzruszenie, o życie; o t e r a ź n i e j s z o ś ć na scenie.

N. p. Stanisława Wysocka - Słanisławska mówi:

„...Chłód zapanował wszędzie, chłodno jest w dzisiejszym teatrze. Niema porywu, niema zdolności wzruszania. Jak meteory przelatują nazwiska reżyserów, by zgasnąć na chwilę, próby rozmaitych inscenizacyj reklamowanych doraźnie.

„...Śmiech albo płacz — w każdym bądź razie silne wrażenie musi dawać teatr duszy dzisiejszego widza — która przeżyła tyle wstrząsów — i otrzaskała się z najtragiczniejszemi przeżyciami.

Cóż dopiero należałoby powiedzieć o teraźniejszości r. 1926?

Jakże śmiesznie wprost wygląda to wskrzeszenie bezpowrotnego — w obliczu globowych — wprost kalejdoskopów rzeczywistości, na którą wprawdzie patrzymy, ale której nie ogarnęlibyśmy, nawet mając wszystkie oczy Argusa!

Całe szczęście i nadzieja na przyszłość, że ta manja stylowości już dokuczyła ludziom, obdarzonym czuciem jawy, a nawet i zraziła do siebie ów niezawodny, tajny, zbiorowy zmysł ogółu.

Jeszcze dobitniej tę potrzebę współczesności wykazuje Zygmunt Kisielewski:

„Wszystkie teatry, zwłaszcza warszawskie, unikają sztuk, wiążących się z współczesnością, mają niechęć do wystawiania utworów — zarówno rodzimych, jak obcych — w których bije tętno współczesności.., Potrzeba stwarzania repertuaru rodzimego nie istnieje. Chęci związania repertuaru z twórczością dramatyczną żywą, z żywem słowem naszej wielkiej epoki niema"!

Emil Zegadłowicz żąda, ażeby teatr miał „poprzez mordęgę dnia powszedniego poczucie m i s t e r y j n o ś c i ż y c i a".

„Bo i cóż to jest propagowanie nowych, t w ó r c z y c h form w teatrze? — Jest to utajone lub jawne pragnienie z n a l e z i e n i a t r e ś c i k a ż d o r a z o w e j t e r a ź n i e j s z o ś c i".

Żywi ludzie żądają żywego teatru. Stylowe manekiny żądają stylowych wznowień i stylowych importów.

Teraz, gdy teatry się chwieją, jedne upadły, inne cierpią na marazm, gdy się odbywają przetasowania, przenosiny, przemiany, możeby też zamieniono stylowych dyrektorów — na dyrektorów żywych i — coś nie coś rozumiejących z labiryntu tworzywa dni dzisiejszych?...[1])

Warszawa. *Cezary Jellenta.*

[1]) Artykuł ten napisany i przeznaczony był dla jednego z pism warszawskich. Po przeczytaniu jednak cennej pracy prof. Sinki w „Gazecie Literackiej" o teatrze, powziąłem myśl, że ideje pokrewne powinny sąsiadować z sobą i być zgrupowane na jednem miejscu, *C. J.*

JEAN COCTEAU — LE POTOMAK

(ŚWIATOPOGLĄD NOWOCZESNEGO POETY I JEGO ZAPATRYWANIA NA SZTUKĘ)

I.

U progu całej współczesnej twórczości literackiej leży symbolizm. Nie ów, zasklepiony w sobie, fałszywie pojęty symbolizm, którego najwybitniejszym i najpopularniejszym zarazem przedstawicielem stał się Maeterlinck, bo nie chodzi nam tu o piękne złudzenia owych chwil, kiedy poezja usiłowała zdystansować naukę w pogoni za tajemnicą Wszechrzeczy. Ten donkichotowski rozmach w walce z wiatrakami abstrakcyj odziedziczył ekspresjonizm i zawiódł swoich zwolenników w ślepą uliczkę rozumowań oderwanych, bezbarwnych, a więc niepoetycznych. Całą literaturę współczesną przepoiły dwie tendencje symbolizmu: Determinizm podmiotowej podniety twórczej bez względu na pozorną różnorodność i bezprzyczynowość zjawisk, oraz wielkie wysubtelnienie odczucia formy.

Im więcej klęsk ponosił symbolizm w walce o treść, tem silniej i dobitniej przerzucał punkt ciężkości swoich usiłowań ku wyrazowi. S ł o w o, które miało służyć do suggerowania symbolów, staje się dlań wreszcie samo przez się symbolem, kojarzy w sposób nieuchwytny całą, skomplikowaną rożnorodność wrażeniowości ludzkiej i rzuca pomost między tem, co poznawalne, a tem, co niepoznawalne, podzmysłowe.

Już dla Baudelaire'a *(Fleurs du mal: Correspondences)* słowo każde miało wartość węchową i dotykową, Rimbaud (Sonet o samogłoskach) tworzył z dźwięków mowy gamę barw, a René Ghil orkiestrował je w symfonje o nieskończonej ilości możliwych instrumentacyj. U podłoża tych wszystkich cząstkowych odkryć, zależnych od specjalnych uzdolnień każdego z twórców, leży już milcząca rezygnacja z myślowego odpowiednika słowa, na rzecz wolnej ideosynkrazji przezeń wywołanej.

„Je cherchais de confondre" (32) woła Jan Cocteau w jednym z rozlicznych wstępów do swego dzieła. I rzeczywiście futuryzmowi francuskiemu*) w ogólności, a Janowi Cocteau szczególnie, udało się dojść do syntetycznego wniosku z danych uprzednio założeń. Utwór jego p. t. „Le Potomak" (nie podpadający zresztą pod żadną z nazw nadawanych dotychczas rodzajowi prozy), zawiera analizę procesu myślowego, który doprowadził poetę do tego, syntetyczno-„formistycznego" pojmowania twórczości artystycznej.

II.

Z wszystkich kart książki tryska ku nam indywidualizm silny, urabiany jeszcze przez życie, ale już w najistotniejszych swych założeniach skrystalizowany i własną drogę znający.

„Rozwijaj to, czego ci publiczność nigdy nie wybaczy — siebie samego" (str. 53).**) Poeta baczy pilnie, by nie wpaść w sidła krytyków „konserwatorów dawnych anarchij" (54) i nie ugiąć się ani trochę przed wymogami opinji publicznej: „Być zupełnie nagim, doprowadzić do porządku swą izbę, zgasić światło — oto moja wstydliwość. A każdy niech przyniesie własną lampę" (54). Tym, którzy go nakłaniają, by zboczył z prostej, lecz niewdzięcznej i samotnej drogi, wyznaje wprawdzie, że mógłby, gdyby chciał, pisać marsyljanki i pieśni o nieszczęśliwej miłości, ale zarazem opowiada im następującą bajkę: „Był sobie pewnego razu kameleon. Jego pan chciał, żeby mu było ciepło i położył go na pstrym szkockim szalu. — Kameleon zginął ze zmęczenia" (52—3).

Jednakże niełatwo przyszło poecie zmyć z czoła piętno tradycji. Przeczytane książki, przynależność społeczna i stosunki z ludźmi pozostawiły w jego duszy gruby pokład obcych, na wiarę przyjętych pojęć i przesądów. Należało oczyścić *„Stajnię Augiasza"*, zapalić „hekatomby foljałów", „autodafé papierzysk podżegających zleniwienie" (20—1), wreszcie „nie czytać więcej gazet, unikać kontaktu z ludźmi, by zapomnieć o wspólnocie z nimi, bowiem długa zażyłość z wartościami fałszywemi, uważanemi za sprawiedliwe, truje" (32—3). Aż wreczcie, mimo *„żalów Antygony"* nad własnoręcznie zniszczonym kwietyzmem, poeta rzec może: „Przeszedłem szybko szczeble wartości oficjalnych; poznałem, jak krótką jest ta drabina, jak ciasną i przeładowaną. Poznałem drabinę wartości ukrytych. Tam zagłębia się w sobie samym..." (11).

Sam fakt buntu przeciw walorom uznanym był koniecznym, jak zmiana skóry u węża. Społeczeństwo składa się z niezliczonej ilości komórek; wprawdzie „istnieje solidarność komórek" (334), ale te wciąż się zmieniają, choć pozornie pozostają te same. „Przed śmiercią wielokrotnie umierasz a za każdym razem wraca podmuch tego ostatecznego klimatu, w który zanurzyła cię twoja ostatnia śmierć" (333). Stąd wynika dla autora i dzieła jego konkluzja: „W tej książce zwierzę dobywa się ze swej skóry, ktoś umiera i ktoś się budzi" (334). Siła, powodująca te zmiany drzemie w odrębnej wewnętrznej budowie każdej komórki. Oto, dlaczego ludzie, jak „na schodach Chambord, wstępują razem, ale nie spotykają się nigdy" (326).

Dr Juljusz Feldhorn.

(Dokończenie nastąpi).

*) Nie wspominam o futuryźmie włoskim, ze względu na cechę dynamizmu, ukierunkowanego, tendencyjnego niejako, nadanego formie poetyckiej przez Marinetti'ego.

**) Ze względu na liczne wydania (9), z których każde ulegało znacznym zmianom i rozszerzeniom, cytuję z wydania: Jean Cocteau: Le Potomak 1913—1924, précédé d'un Prospectus 1916.

1924. Neuvieme édition. Texte définitif. Librairie Stock, Paris.

O WIARĘ W CZŁOWIEKA

„Straciliśmy wiarę w bogów,
szukamy wiary w człowieka"
Ferd. Goetel

Wielka wojna skończyła się nietylko klęską zwycięzców i zwyciężonych, ale przedewszystkiem klęską wiary w człowieka. W huraganowym ogniu miljona dział objawiła się światu potworna, wynaturzona bestja, jaskiniowiec o instynktach stokroć gorszych od zwierzęcych, bo zczłowieczonych, bo spotęgowanych całą perwersyjnością cywilizacji.

Straciliśmy wiarę w człowieka.

W ognistych krzewach granatów nie jawił się biblijny Bóg, ale chichotały bogi angielskie, francuskie, niemieckie, austrjackie i tureckie z serdeczną uciechą z cynicznych modłów o zwycięstwo.

Straciliśmy wiarę w bogów.

Miljardowy tłum rozpoczął paniczną ucieczkę od życia. Przez cały świat przewaliła się fala spirytyzmu, okultyzmu i chwycono się metafizyki i metapsychiki, jak tonący chwyta się brzytwy.

Ale metafizyka zatriumfowała nietylko w spekulacjach metapsychicznych. To samo dominujące stanowisko zajęła ona i w sztuce. Ludzie przelękli się treści życia, bo była ona tak straszną, że mogła nawet najsilniejsze nerwy potargać, jak sznurki. Zaczęły się poszukiwania za sztuką jak najbardziej odbiegającą od życia, za jakimś absolutem w dziedzinie estetyki, za czystą formą.

Chaos wojennych stosunków, życie bez żadnych reguł, treść bez podstaw lub na glinianych nogach, to wszystko wołało w dziedzinie sztuki o objawienie nowych praw, o nowy porządek, o położenie kresu anarchizmowi.

Tęsknota za abstrakcyjną regularnością form geometrycznych, za linją prostą, za bryłą o ścianach ściśle określonych, gdzie nie można obłędnie błąkać się, jak w labiryncie, to było przyczyną, że podstaw nowej sztuki zaczęto szukać przedewszystkiem w problemie formy.

Wrażliwość artystyczna nie znosząca życia, które cuchło realizmem sekcyj patologicznych, chwyciła się tych dążeń, jak deski ratunku. Twórcy zaprzysięgli się nie rozumieć powszechnie używanego języka, postanowili zamknąć się w czterech ścianach swojej jaźni i przeciąć wszystkie kable, łączące ich ze światem. Z czasem weszło to w modę i każdy, który nawet nic nie miał do powiedzenia, stawał się również niezrozumiały i zarozumiały, że nikt go nie rozumie.

Tragedja skończyła się farsą. Paniczna ucieczka od życia, przekroczyła granicę komizmu. Ci, którzy dostrzegli ten moment, wybuchli śmiechem, a ci poczciwcy, którzy bali się jak ognia posądzenia o ignorancję, gdy im wmawiano z całą bezczelnością powagę głupstwa, ci dziś pewnie żałują, że wtedy nie trzymali się za brzuchy.

Śmiech — śmiech — z początku wesoły — potem wrzaskliwy — histeryczny.

Znowu pustka.

Znowu poszukiwanie.

Pozaświatowość? — Nie — Brr!

Czego więc szukać?

Oparcia — punktu oparcia. Na ziemi. Wiary w człowieka.

Niema innego wyjścia.

Szukać...

...złotej legendy odrodzonego przez trud celowy człowieczeństwa.

Wierzyć, że...

...ona idzie wąwozem ulicy na wysokości jednego metra nad poziomem jezdni, na wysokości pokładu z ciał jednego pokolenia.

Człowiek! (tak — przez duże C!)

Nie dzikus przeszczepiony z lasu na plantację techno-cywilizacji.

Nie!

Ale ten wyhodowany przez cywilizacjo-kulturę!

Człowiek =

= mózg + serce.

Czujący mózg i myślące serce.

„Trzeba mieć takie serce, któreby umieszczone w mózgu, nie malało, ale rosło!"*)

Spojrzeć na półkulę błękitu, jak na sklepienie czaszki.

Na kopule nieba, gdzie dotąd szukano bóstw —

— chmury — falujące zwały chmur

— zwoje ogromnego Mózgu.

Pług woli wyorał w mózgu bruzdy i żarzą się w nich rubiny —

— słońca —

— oblane serdeczną krwią twórcze myśli.

Człowiek! (tak — przez duże C!)

Dogmat.

Wbić go kafarem w bezdeń.

Adam Polewka.

*) T. Peiper — „Nowe Usta".

O POEZJI

Książka Duhamel'a *„Les poétes et la poésie"* — zbiór świetnych artykułów i szkiców o subtelnem, niemniej jednak druzgocącem zacięciu satyrycznem — jeszcze przed wojną spowodowała wiele wrzawy. Dziś, gdy Gabrjel Karski w doskonałym przekładzie dał polskiej literaturze wybór tych szkiców, wybierając najistotniejsze ze względu na temat zagadnień, musimy zauważyć, że książka ta rzucona na tło dnia dzisiejszego robi wrażenie jeżeli nie anachronicznej, to w każdym razie nieco spóźnionej.

Temat książki — poezja — to kaskada fal, przelewająca się strugami, którą trudno ułowić w sieci krytyki. Da się złowić na chwilę, na jeden okres niedługi, a potem wymyka się i trzeba znów inne zastawiać na nią sidła, najściślej do współczesności przystosowane. A szkice »O poetach i poezji« powstały przecież w latach 1912—1914!

Dlatego odczuwamy w książce Duhamel'a brak najistotniejszego, nierozerwalnie związanego ze współczesnością zagadnienia: powojennej struktury psychicznej poezji (nie poetów!). Tego, rzecz prosta, w książce tej niema. Dlatego też rozpatrywania Duhamel'a nie pod tym kątem rzucone na ekran poezji są — dla nas — jakby bez punktu oparcia. Są zbyt wiotkie.

Niemniej jednak cały szereg orzeczeń, wypowiedzianych przez autora »La vie des martyrs«, czy to poważnie, czy w interwallach komicznych, do dziś dnia nie stracił na aktualności. I nas porywa ta pasja autora przeciw rzeszom nędznych rymorobów, wybuchająca z poza dyskretnych ram ironji. Zadziwia nas to istne arcydzieło satyry, jakiem jest podział gromady poetów przez Duhamel'a na... poetów i miłośników poezji.

Anachronizmem tej książki jest rozdział »O wyborze tematu«, w którym Duhamel nazywa »człowieka w przyrodzie« niewyczerpanym tematem. Dziś zdajemy sobie jasno sprawę z tego, że zdania powyższego nie wykarmił plon ostatnich paru lat i że dziś »człowiek w przyrodzie« zszarzał i zbladł przy młodszym swym bracie — »człowieku w technice« XX-go stulecia.

Uważając wszystkie tematy — za wyjątkiem przyrody — za »przejściowe« a przez to za nie nadające się do poezji, której celem »wyrażanie tego, co jest wieczne«, nie przypuszczał Duhamel, że może przyjść taki okres, kiedy przyroda będzie tematem »nieprzejściowym«, tylko w połączeniu z »przejściowemi«.

Rozdział o »Szkołach poetyckich« zawiera słuszne i cenne uwagi, udowadniające rzeczy zresztą znane, że nie genjusze, ale poeci pomniejsi tworzą szkoły.

Przepis na układanie tomów poezyj — to kapitalna pieśń satyry, druzgocącej triumfalnie szeregi nędznych rymorobów. Trafnie wybrany przykład »robienia« sonetu na dowolny temat stwierdza raz jeszcze tę prawdę, jakże bolesną dla grafomanów — zwłaszcza starszej generacji — że sonet jest najłatwiejszą formą wiersza i że właśnie jego pozorne zacieśnienia i ograniczenia dają licencjalną swobodę mnogim dowolnościom. Cykle sonetów, — te zgrzytające po nerwach piły — na tematy historyczne, społeczne lub opisujące jakoweś miasta rodzinne, są strasznemi chwastami literatury.

Ostatni rozdział »O eklektyzmie«, to świetna satyra na krytyków, bojących się napisać prawdę i chwalących wszystko i wszystkich w zręcznych, a pustych frazesach.

Książkę Duhamel'a powinni czytać spokojnie i uważnie przedewszystkiem — poeci.

W. Z.

Poszukujemy zdolnych i energicznych zastępców we wszystkich miastach Rzeczypospolitej.

Administracja „Gazety Literackiej".

JANUSZ STĘPOWSKI

MÓJ OJCIEC I MÓJ TEATR

(Dokończenie)

Kulisy budziły we mnie grozę. Scena wyglądała jak smok z wiszącemi w górze na trawersach skrzydłami. Stękała i pociła się, wydając woń zimnego kurzu i pokostu. Z nikim tu, prócz strażaka, nie można było dłużej rozmawiać. Aktorzy, których westchnienia ulgi znałem na pamięć w garderobie, trzęśli się i żegnali nabożnie przed wejściem na scenę. Ale już największą febrę, która przypominała dygotanie szpulki nici na maszynie do szycia, mieli tu przedewszystkiem autorzy. Wciśnięci w jakiś ciemny kąt kulis z rezygnacją pozwalali się, jak woły na jarmarku, klepać po grzbiecie gadatliwym panom-recenzentom. Jakże to wszystko złowrogo wyglądało! Tymczasem na jakichś meblach ziewali maszyniści i patrzyli bez słowa na brudne dłonie, licząc po cichu minuty do nowej zmiany aktu. A za dekoracjami, za trzepotem słów na scenie, z tamtej strony rampy leżały na fotelach pokotem głowy widzów, jak twarde kamienie, po których płynęła rzeka szeptów wmilczona w przeklętym mroku, W powietrzu dojrzewała mocna, okrutna groza. Oczekiwałem zapadnięcia kurtyny, jak zamknięcia ust, niezdolnych do wołania o pomoc. W garderobie, nikt mi nie mógł objaśnić, dlaczego t a m było tak strasznie.

— Co ty wiesz! — mówił mi ojciec, charakteryzując swoją twarz na nowego, nieznanego mi dziwoląga.

I tak upłynęło mało — wiele lat odprowadzań i wizyt literackich, kawiarnianych zebrań, okresów ról i ukrytych do nich wzdychań. Przyzwyczaiłem się, że tygodniami nieraz wietrzono pokój ojca z lichego dymu papierosowego, po którym poznawałem literackie wizyty. Były też okresy ciszy, od której w uszach bolało. A ojciec mój pisał ciągle i układał skrzętnie zapisane kartki w zamkniętem biurku. Zaglądałem nieraz ciekawie przez dziurkę od klucza do szuflady i dziwiłem się, że słowa nie krzyczą. Wszak tam piętrzyło się aż 40 lat pracy aktora, uśmiechy wawrzynów i łzy pobolewań, prawda szczęścia i święte kłamstwo urojeń, pół wieku niespełna ciągnione ornym koniem na szlaku Lwów—Kraków—Poznań—Warszawa, w budach teatralnych Grabińskich, Modzelewskich, Woźniakowskich i Piaseckich, i w wagonach kolejowych, gdzie się śniło dyrekcje wielkich miast — takiego Miłaszewskiego we Lwowie, Dobrzańskiego w Poznaniu, Muchanowską w Warszawie, a w Krakowie Rychtera, Koźmiana, Gliksona, Pawlikowskiego, Kotarbińskiego, Solskiego — aż po rok 1912...

Byłem w II klasie gimnazjalnej, kiedy dzięki mojemu teatrowi, przeżyłem ważną chwilę w życiu. Po raz pierwszy pozwolono mi widzieć „Wyzwolenie" Wyspiańskiego. Ojciec mój już wtedy nie grał swojego Starego Aktora, którego mu był darował na jubileusz 30-letnich ślubów ze sceną Wyspiański. Jako emerytowany aktor siedział ze mną w loży i dobrotliwie się do sceny uśmiechał. W mojej głowie fruwały dekoracje, skrzypiały koturny, uderzały o czaszkę zapalone pochodnie słów i huczała Polska w dzwonieniu Zygmunta, płonęły mi usta i ręce, a ojciec mój wciąż się tylko dobrotliwie uśmiechał. Do sceny — do sceny! Po drugim akcie wziął mię pod ramię i poszliśmy „za kulisy" do garderoby Konrada. Nie zapomnę tego, że Konrad palił papierosa i z ciekawością przeglądał się w lustrze, poprawiając nerwowo czarny płaszcz na ramionach. Uśmiechnął się i posadził mię na swoich kolanach. Na to ojciec mój wpatrzył się we mnie poważnie i powiedział z naciskiem, podnosząc palec do góry:

— Pamiętaj, to największy Konrad w Polsce!

Przeżyłem onej chwili dumę własną. Inna rzecz, żeśmy się z ojcem nie zrozumieli. Wszak on mówił wtedy o Mielewskim, a ja myślałem o prawdziwym Konradzie. Takim mnie to już wychował m ó j teatr.

Trudnoć i nie moja rzecz pisać o waszym teatrze, jakim go widzicie, radzić nad jego upadkiem, o którym podobno nie trzeba głośno mówić, bo wszyscy o nim wiedzą, dziwować się, dlaczego dzisiaj aktorzy mają pono więcej pieniędzy niż talentu, smucić się nad gustami proletarjatu, uczącego się prędzej, wygodniej i taniej w kinie, niźli na repertuarze sztuk odgrzewanych, jak kotlety na starem maśle, pocić się pod ciężarem deficytów, i wypatrywać na niebie Jewreinowów i Pirandellów gwiazdy betleemskiej, która kiedyś musi wreszcie wzejść nad nowym teatrem, jako przystało każdej dziedzinie sztuki, żyjącej na padole.

Mój teatr ciągle rośnie wraz ze mną. Został mi on po ojcu w puściźnie, podobny czasem do teatru Słowackiego i Bogusławskiego, a najwięcej do pamiętników ojca mojego. Innych teatrów nie rozumiem i nie czuję, wszakże niema miejsca na nie w krwi mojej,

Kiedy po śmierci ojca otworzyłem jego szufladę, wionęły na mnie wicher i pomrocz. Głaskałem jego słowa koślawe i chropawe jak ongiś wyświechtane rękawy kostjumów, wylotami sięgające po niebo. Ileż z tego dziecinnego kłamstwa naszego pozostało!? Nieprawdą jest, iżby trykoty na nogach aktorskich były korzeniami twardego drzewa. Cóż po wielkich rolach aktorskich zostało dzisiaj prócz nieznanego grobu, zoranego na rozstajach ulic, którego nikt dokładnie nie wskaże. Aktor przechodzi jak piechur. Tupot jego nóg tak łatwo zacicha w odległości.

Nie dziwno pewno nikomu, że z czcią i radością pracowałem w imię trwałości pamięci ludzi teatru nad przygotowaniem do druku pamiętników ojca, dotykając jednakowo błędów, grzechów i doskonałości, jak kości relikwijnych. Kiedy kładłem ostatnią kropkę, jeszcze raz przeglądnąłem początek, gdyż nie mogłem uwierzyć, iżby wielkie romantyczne dzieciństwo moje miało tak wiele wspólnego z wyspą starych Robinsonów, za jaką uważam dzisiaj scenę i jej uskrzydlonych, rajskich pracowników.

WITOLD ZECHENTER

PIEŚŃ O DNIACH PRZYSZŁYCH

Radosny śmiech triumfem buchnął z serc [ludzkości:
oto z ziemi zrobili piłkę dla swych zabaw!
przychylili ku ustom jutro swej przyszłości!
przestrzeń znikła i w czasie umierała słaba.

W pięć minut można zwiedzić wszystkie czę- [ści świata!
rozszumieć krzyki stolic w radjo-aparatach!
przebiec mostem żelaznym na rdzawej ko- [lumnie
przez Ocean Spokojny, co zżyma się dumnie!

Ze Sahary kwitnące strzeliły ogrody!
lądy kształt swój zmieniły, cofnęły się wody!
glob splątany żelazną siłą ostrych włókien
płynie przez jaśń kosmosu jak błyszczący [bukiet!

Rozszumiała się mocy żywiołowa arja!
krzyczy beton z żelazem jak zły proletarjat!
dudni winda, lecąca milami pod ziemię!
pod czopem ołowianym wściekły wulkan [drzemie!

Huczy triumf rozumu w takt matematyczny —
gromki oddech konstrukcyj oddzwaniają miasta.
Nad bezmiarem, jak wyrok, co sekundy liczy,
wznosi się cywilizacja!

Zda się, że wieczność przed nią gnie w pyle [kolana —
lecz życie mknie, jak dziwna pieśń niedo- [śpiewana,
bo chociaż młot ludzkości cudów zatrząsł [progiem —
człowiek został człowiekiem — a Bóg został [Bogiem.

I ponad wszystkie noce kwitnące w latarniach,
ponad dni, które łomot żelazny ogarnia,
nad rozumu ludzkiego genjalność pokraczną
wciąż się wznosi tasama milcząca Opatrzność.

I na jakiejś arterji ubocznie wiszącej
wciąż się modli tosamo życiodajne słońce
i wśród w niebo bijących przewodników węży
wciąż tensam zamyślony przemyka się księżyc.

I nad pasem transmisyj, co łączą Europę
z Ameryką potwornie żelaznym ukropem,
na mostku zawieszonym na rozdrganych [drągach
robotnik robotnicę całuje jak ongi.

Choć północ z południowym rozmawia bie- [gunem
falami, co przez przestwór szybują tabunem,
Bóg nad człekiem z tajemnej królując oddali
nie nastawi mu antenn na długość swej fali.

Gwar nigdy nie przycicha i wciąż kują [młoty —
lecz przez ziemię cień płynie przedziwnej tę- [sknoty —
i czasem w twardym wirze szepną czyjeś usta
westchnienie pełne lęku do wiecznego bóstwa.

I jak bastjon ku gwiezdnym wzniesiony prze- [stworom
z łona schorzałej ziemi wstaje czarny prorok
i bezsłowną modlitwą jak tajemnic demon
woła, że świat paść musi kiedyś do stóp — [Jemu!

Że Jego moc gdy runie z błękitnych poddaszy,
cóż zostanie z przemądrych radjo-stacyj [naszych
kłujących blade niebo drutami lśniącemi —
cóż zostanie z miast śniadych ryjących dno [ziemi —

cóż zostanie z warczących, podmorskich tu- [nelów —
ze stolic błyszczącego spiżem karuzelu —
z mostów drżących jak sieci na sto kilome- [trów —
gdy On chwyci za kresu potworną faretrę?!

Bo On tam musi być za gwiazd tysiącem,
milczący wciąż, dopóki nie zawoła: koniec!
On, wypaczony setkami religij,
On, zbezczeszczony intratą intrygi,

która mu ludzkość stumaniła, zwiodła
w kłamstwie wykrętów, w lśnieniu blagi podłej.

I każda chwila, co stopy mu splata,
modli się, błaga Go — o koniec świata!!

EDGAR ALLAN POE

zohydzony za życia fejletonista, oraz poeta o »niepociesznym charakterze«, oskarżony kiedyś publicznie przez lichego literata dr Rufusa Griswolda o: wiarołomstwo w małżeństwie, ukrywanie lat, robienie długów i... niezdolność naginania stylu do miary pospolitej publiczności, — stał się w dzisiejszej Anglji kopalnią entuzjazmu krytyki. Po nieśmiałych próbach rehabilitacji Poego przedsiębranych ongiś przez Willis'a, Witmer'a, John'a, Neal'a, Graham'a, — ostatnio pani Mary Newton Stanard sięgnęła po Poego w wydaniu jego powieści biograficznej p. t.: »The Dreander« (Marzyciel) i w »Letters titt now unpublished« opatrzywszy obie edycje własnym wstępem i objaśnieniami. Obie rzeczy są pierwszorzędnej wagi przyczynkiem do życia poety i powodem długich dysput o wartości charakteru Poego.

OBYWATELE!
Nie żałujcie grosza na cele oświatowe T. S. L.

MERKURY — BÓG LITERATURY

Powody nikłego zainteresowania się zagadnieniami sztuki ze strony szerokich kół społeczeństwa są stałym tematem rozważań prasy i wydawnictw literackich. W ostatnich dwóch tygodniach dorzucono do tej interesującej dyskusji dwa dalsze, bardzo słuszne głosy.

Zdzisław Dębicki widzi przyczynę tego opłakanego stanu rzeczy w pierwszym rzędzie w braku rzeczowej i poważnej krytyki artystycznej, Wacław Husarski — w odniesieniu do sztuk plastycznych — w obniżeniu się gustu t. zw. publiczności.

Tak więc z pośród ramion tego odwiecznego trójkąta małżeńskiego, jaki stanowi sztuka, krytyka i t. zw. publiczność, dwa już zostały pociągnięte do odpowiedzialności, — jak się ma sprawa z trzecim, oto pytanie, które nas zajmuje w tej chwili.

* * *

Nowa poezja polska, której narodziny pokrywają się ściśle z chwilą odzyskania niepodległości, liczy w tej chwili okrągło siedm lat istnienia. Spójrzmy więc na wyniki tego pierwszego okresu burzy i naporu, uzbierajmy pęk najpiękniejszych jego wierszy, — trud siedmiu lat i omal że nie... siedemdziesięciu nazwisk.

Są tam istotnie rzeczy bardzo piękne, stanowiące już dzisiaj wcale pokaźny dorobek artystyczny młodego pokolenia, tych jednak parę — może kilkanaście majstersztyków gubi się, niestety, w całem morzu najzwyklejszej tandety, zrozumiałej może, w żadnym jednak razie niezasługującej na wyrozumiałość. Powie ktoś — że to właśnie jest rezultatem tego wielkiego nieporozumienia, które kiedyś najpierwszym malarzom kazało czyścić buty,*) a obecnie zmusiło poetów do obniżenia lotu — być może, ale także być może, że to jedynie wynik pewnych zasadniczych niedoborów samej literatury.**)

Otóż i one:

Młoda literatura polska — mam oczywiście na myśli produkcję masową, nie wspomniane już na wstępie majstersztyki — jest w nieustannej, wprost chorobliwej pogoni za oryginalnością. Wszystko, wszystko, wszystko, literalnie wszystko, pragnęłaby mieć nowe, niewidziane i nigdy jeszcze przez nikogo nie użyte. W pogoni za tą oryginalnością uciekają się niektórzy młodzi poeci do takiej ekwilibrystyki myśli i słowa, że tracą wszelki kontakt z myślami i sposobem wyrażania się ich bliźnich. Być może — że istotnie pławią się w pięknie — piękno to jest jednak dla nich tylko widoczne.

Po drugie: w myśl, zdaje mi się przez nikogo jeszcze nie podniesionego argumentu, że niema nic bardziej ograniczonego, jak fantazja, jako konsekwencja ostateczna abstrakcyjności i realizmu, oderwania od życia, dowolności — ba — wolności poetyckiej nawet! — przychodzi nieunikniona i wprost śmiesznie mała skala różnorodności, zjawia się wprost zdumiewająca (jak często!) jednostronność i szablonowość tematów, zadań, zainteresowań — haseł nawet.

Nic więc dziwnego, że społeczeństwo przeczuwając raczej niż rozumiejąc i widząc ten zasadniczy niedobór towaru artystycznego, produkowanego masowo i — wciąż na nowo — odnosi się do tej produkcji raczej z rezerwą...

W tem miejscu zjawia się na widowni rzecz naprawdę nowa i do tej pory nigdy jeszcze w takich rozmiarach nie spotykana. Człowiek zwykły łapie się nagle za głowę, jakby mu w niej wszyscy naraz Karasińscy i Melodyści urządzili jakiś djabelski dancing i wybałusza zbaraniałe nagle i oszołomione oczy. Odwieczny bowiem trójkąt małżeński jaki stanowi sztuka, krytyka i społeczeństwo, zbogacił się nagle o ...czwarte ramię.

Dziewięć muz ujęło (może za przykładem dziesiątej?) dziewięć szyldów reklamowych i wybiegło wyjąc na ulicę...

* * *

Niech za mnie zresztą opowie tę sprawę, ktoś bardziej do tego powołany.

Boy-Żeleński pisze:

> Nasze życie umysłowe znajduje się w fazie licznych przewartościowań. Zachwiało się w literaturze wiele kanonów formalnych; straciły swój autorytet jedne, nie ustaliły się nowe. Publiczność — ta dawna, szczuplejsza — zmieniła się w szeroki tłum, wrażliwy, świeży, chętny, ale nieraz słabo zorjentowany, podatny do wszelkiej sugestji. Zamęt pojęć. Czuć w powietrzu jakąś newrozę. W życiu artystycznem, teatralnem zwłaszcza, roi się od znachorów, proroków, od mateczek Kozłowskich w portkach.
>
> Rozrosło się przytem niezmiernie znaczenie i sprawność reklamy. Reklama zuchwała, jarmarczna, to znów obleśna i dyskretna, wcisnęła się we wszystkie działy życia. Działa nieraz tak skutecznie, iż u tych, którzy trzymają rękę na jej korbie, wytwarza się przekonanie, iż wszystko da się wmówić, wszystko narzucić, wszystko zakrzyczeć.

Reklama ma swoje dobre strony. Może wiele zdziałać na służbie dobrej sprawy. Ale nigdy, za nic, w żadnym razie nie zastąpi talentu.

Dobry poeta, dobrze zareklamowany, będzie jeszcze lepszym poetą. Ale zły poeta, tak samo, jak kiepskie mydło, kiepski tłuszcz jadalny, kiepska pasta do obuwia, będzie tylko złym, kiepskim, — chociaż rozreklamowanym — poetą.

Posłuchajmy:

> To nie są rzeczy błahe. Trzeba się po męsku przeciwstawić tym nieodpowiedzialnym wybrykom, tym tańcom świętego Wita, tokującym głuszcom samoupojenia, petitowym genjalnościom, temu mistycznemu reklamiarstwu. Trzeba mówić głośno, aby nas w tym wrzasku słyszano.

To jasne. Tymczasem na niezliczonych polach działalności artystycznej toczy się dalej jakiś — jakże w samej rzeczy niesmaczny — mecz konkurencyjny Forda z Citroënem... Rzetelnej pracy coraz mniej. Coraz mniej twórczego wysiłku.

Wszystko na pytel, wszystko zgrubsza. Działa — jak sprawnie działa — czwarte ramię trójkąta. Kunerol — ach! — ten kunerol — najlepszy tłuszcz jadalny...

Coraz dalej od tego targowiska odbiega kochanek muz, boski Apollo, coraz wyraźniej, coraz odważniej, coraz bezczelniej zajmuje jego miejsce Merkury — bóg literatury.

(W. W.)

*) Porównaj artykuł Wacława Husarskiego „Sztuki plastyczne“ w przedostatnim numerze „Tygodnika Ilustrowanego“.

**) Piszący te słowa ma na myśli stale t. zw. „młodą literaturę“.

GDZIE CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY

W aparaturze dzisiejszej cywilizacji zginął i zagubił się dla wielu twórców człowiek współczesny. To też, o ile on pojawia się na tle hali maszyn, na tle tłoków, kół rozpędowych, dźwigów, młotków i t.p., słowem całej sterty ruchomego żelaziwa, staje się zupełnie niedostrzegalny i ginie wobec dekoracji fabrycznych kominów i drapaczy, które przygniatają dziecinną fantazję kochanków żelaznych struktur. Romantyzm miał swoje kwiatuszki, swoje dąbrowy i strumyki, oraz bladego człowieka, wyciętego nożycami szablonu z bibuły mokrej od łezki sentymentalnej. Niby — współczesna poezja ma konstrukcję żelazo-betonową i papierowy szablon współczesnego człowieka, roba o stalowych mięśniach, automat zgrany rzekomo z ruchem maszyny, człowieka papierowego, którego nakleja się przy robieniu współczesności, jak etykietę na pudełku z cywilizacyjnemi cudownościami.

Aparatura cywilizacji zasłoniła poetom zupełnie człowieka. Nie znają go. Nie wiedzą o tem, że łoskot, huk, hałas, warkot i jazgot dzisiejszego życia nie są żelazną bajką dla współczesnych, że to są rzeczy codzienne, na które żaden przechodzień nie zwraca uwagi, że one już weszły w zakres potrzeb codziennych, że stały się kołysanką, bez której spać nie można.

Największym krzykiem, który wstrząca człowiekiem współczesnym, jest dziś szept i najgłośniej krzyczy dziś cisza.

Już niema ogłuszającego słowa, ale już zaczyna krzyczeć szept cichych słów, które targają sieć nerwów i tłumią huk maszyn.

Drugą przyczyną, z powodu której dzisiejszy twórca zgubił współczesnego człowieka, jest coraz większe zmechanizowanie każdego indywiduum, które jest następstwem coraz większego podziału pracy. Prawdą jest, że skutkiem tego grozi indywidualizmowi katastrofa bezbarwności i szarzyzny. Ludzie powierzchownie obserwowani mało się dziś odróżniają od siebie i giną w masie, której cechy najbardziej uderzające ujmuje twórca w typie masowym. Ten »typ masowy« jest czasem bardzo naiwny, gdy podział na typy przeprowadza się według kilku zaledwie cech zewnętrznych i według nich przypisuje się każdej jednostce te same procesy psychologiczne. Psychologji indywidualnej nie można zastąpić przez niedokładną systematykę, przez szablonowy typ psychologiczny. Podział pracy nie oznacza, że dwóch, trzech, czy stu ludzi, to samo robiących, pozostaje w tym samym stosunku do swoich czynności. Dążenie do uchwycenia psychologji masowej według czynności, wykonywanych przez ludzi, jest na razie tylko charakterystyczną tęsknotą za syntezą, tęsknotą znamienną dla wieku potwornej analizy, jakim jest wiek, w którym żyjemy.

Cały świat zdaje się dziś być maszyną-kulą, rozkręconą do najdrobniejszych śrubek i kółek. To też każdy z nas czuje pragnienie, aby już raz zmontowano tę machinę, aby ona już raz ruszyła z kopyta w określonym kierunku. Ta tęsknota za syntezą zlewa się z tęsknotą za jakimkolwiek punktem oparcia, za dogmatem. Tu ma swoje źródło jedna z charakterystycznych cech współczesnego człowieka: fanatyzm, który jest obłędnem czepianiem się jakiejkolwiek wiary i strachem przed osunięciem się gruntu z pod nóg. Człowiek dzisiejszy zawieszony nad przepaścią relatywizmu, kurczowo czepia się każdego hasła i każdego dogmatu. Jest fanatykiem i doktrynerem w obawie przed utratą słabej wiary.

Ten brak oparcia, strach przed w pustce zawieszonem osamotnieniem, każe mu szukać masy i budzi w nim pęd organizacyjny. Ludzie zbijają się w gromady, jak zbija się w gromadę strwożone stado zwierząt. Pęd organizacyjny nie jest tylko wyrazem wspólnej obrony potrzeb, jest również dowodem wyginięcia samotnych żubrów.

Strach przed osamotnieniem idzie również w parze z zastraszającym rozwojem chorób nerwowych. W miastach amerykańskich blisko połowa mieszkańców jest nerwowo chora. Przyczyną tego jest szalone tempo życia i mechanizacja zajęć. Medycyna przyszłości upora się z pewnością z chorobami zakaźnemi, ale zwali się na nią ciężar leczenia chorób nerwowych, które mogą dojść do rozmiarów epidemij.

U człowieka współczesnego wybija się na pierwszy plan wrażliwość wzrokowa. Wzrok pozwala się orjentować najlepiej i najszybciej w otaczającym nas dziś świecie. Kino nie jest przyczyną supremacji wrażeń wzrokowych nad wrażeniami odbieranemi przez inne zmysły, ale wprost przeciwnie: kino przystosowało się do tego i w tem należy szukać przyczyny jego powodzenia i upadku teatru, który opiera się w głównej mierze na wrażeniach słuchowych, dziś już drugorzędnych.

Szalony rozwój sportu jest wyrazem strachu przed zanikiem sił fizycznych. Jednak sport dzisiejszy jakżeż różnym jest od starożytnego kultu ciała. Jest odpowiednikiem współczesności przez swoją jednostronność i nerwowy wysiłek.

Tempo współczesne wymaga również ekonomji w myśleniu i wypowiadaniu się. Jest to objaw całkiem naturalny, że ludzie dzisiejsi dążą do stenograficznych skrótów w myśleniu i mówieniu. O tem przedewszystkiem powinni pamiętać współcześni poeci.

Nie sądzę, że udało mi się podać dokładną charakterystykę współczesnego człowieka, ale pragnę zapoczątkować próby jej ujęcia.

P. A.

Z POWODU ODCZYTU K. H. ROSTWOROWSKIEGO

Dnia 21 bm. wygłosił p. Rostworowski w jednej ze sal Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie odczyt p. t.: »Wpływ literatury na życie społeczne«. Prelegent zaczął od czasów rzymskich; scharakteryzował nader ujemnie sylwetkę moralną spryciarza — Oktawiana; stwierdził, że Horacy (»rzymski Heine«) pisał nie jak mu sumienie i natchnienie poetyckie nakazywało, ale to, czego wymagała racja stanu, czy względy polityki osobistej monarchy i protektora, że największy rozkwit literackiej kultury rzymskiej przypada na okres panowania Marka Aurelego, znakomitego filozofa — i pierwszego konsekwentnego i świadomego prześladowcy chrześcjan. Po tem zaś wszystkiem doszedł do niespodziewanego wniosku, że zobrazowany stan rzeczy jest — właściwym i zalecenia godnym, także w naszych warunkach i że obowiązkiem, psim obowiązkiem literatury jest oddać się w służbę (przemijających) systemów politycznych. I do tej służby należy ją »zaganiać batem« (w cudzysłowach cytujemy własne słowa prelegenta).

W zakończeniu odczytu wezwał przyjścia — Oktawiana, ni mniej ni więcej tylko tego samego Oktawiana, którego tak ujemnie na wstępie scharakteryzował, a któryby miał wziąć w karby »brykającą« polską literaturę.

K. H. Rostworowski jest człowiekiem, z którym, pomnąc na jego piękną przeszłość kulturalną i zasługi literackie i artystyczne, chcielibyśmy się liczyć. To też poprzestalibyśmy na powyższem lojalnem przedstawieniu jego koncepcji o roli literatury.

Niestety jednak znakomity prelegent, który w godzinnem przemówieniu zdołał powiedzieć tylę bezpodstawnych frazesów i rażących sprzeczności, że wprost nie chciało się wierzyć, że się ma przed sobą — Rostworowskiego, uderzył w ton wręcz niesłychany. Odczyt jego — to nie był odczyt. To było demagogiczne przemówienie z całym wiecowym aparatem trzaskania pięścią w stół i niewybrednych argumentów.

Przemówienie zaś to, wypowiedziane ze znakomitą swadą, dzięki której niepostrzeżenie dla części słuchaczów przemykały się rozliczne, powiedzmy delikatnie, lapsusy ideologiczne — i logiczne, było poprostu niczem innem jak tylko polemiką z »Gazetą Literacką« — i w sposób zupełnie widoczny, osnute było na kanwie poszczególnych naszych artykułów.

Dlaczego jednak p. Rostworowski dla polemiki obrał taką platformę — zamiast łamów dziennikarskich? Czyżby może dlatego, że takiemi wiadrami wody nie pozwoliłby zalać swych szpalt redaktor nawet najbardziej z p. R. liczącego się dziennika? Powiedział prelegent między innemi, że »dziennikarstwo degrengoluje literaturę«, że praca dziennikarska zabija talent w literatach, »którzy nie są potem zdolni do napisania porządnej powieści ani dramatu«. Istotnie. Widzieliśmy »Antychrysta« i słuchamy odczytów pana R. Ale szczęściem dla polskiej literatury i dla polskiego dziennikarstwa są jeszcze oprócz niego i inni literaci, zajmujący się publicystyką.

Gdybyśmy cytowali dosłownie niektóre z metafor, używanych przez mowcę, posądziłby nas ktoś o wyrafinowaną złośliwość; trudno jednak nie zauważyć, że użycie porównania: »literatura — to są dla nas (starszego pokolenia) trzy szafy: w jednej jest Bóg, w drugiej Wenus, w trzeciej Mars«, co miało oznaczać, że odwiecznemi tematami literackiemi są ideje religijne, erotyzm i walka — wywoła chyba w każdym niesmak dla tak niefortunnego zestawienia Boga z Wenerą i Marsem i refleksje niezbyt dla szermierza katolicyzmu pochlebne.

Zakrzyknięcie zaś wielkim głosem, że autor jednego z zamieszczonych u nas artykułów jest »osobą znaną na polu zbrodni« — co wywołało oczywiście na sali kolosalne wrażenie i poruszenie — i dodanie po dłuższej pauzie słówka »literackiej«, albowiem zabija w opinji publicznej innych literatów, to jest metoda, której może wolno używać na wiecu do bezkrytycznego tłumu, ale nie wolno używać w murach najstarszej polskiej wszechnicy do kulturalnej publiczności. A zresztą — pocóż było mówić o Bogu i o Oktawianie, gdy chodziło — poprostu... o pana Pusłowskiego.

Krótko mówiąc nam tu nie potrzeba żadnych Oktawianów, ani... Mussolinich, a już najmniej ich demagogicznych propagatorów.

A jeśli w czem widziećby tu można zjawisko upadku literatury polskiej, to chyba w tem, że poważni literaci do takiej przechodzą służby.

Z TEATRU

„Faust“ Goethego, w tłum. Zegadłowicza, w Teatrze Narodowym.. — **„Rewizor“** Gogola w Teatrze Bogusławskiego. — **„Król“** G. de Caillaveta, R. de Flersa i R. Arène, w Teatrze Polskim. — **„Maszyna parowa“** Svobody, w »Bagateli«. — **„Przyjaciele“** Fredry, w Teatrze Słowackiego.

Djalogi Fausta z Mefistofelesem wyobrażam sobie na tle ciemnych kotar, albo małej ściany alchemicznej pracowni, bez »prawdziwych« retort, flaszeczek, słoików i t. p. rekwizytów przestarzałego sposobu inscenizacj. Usunąć podrzędne, zbędne, nic nie mówiące szczegóły; dać jeno poważne, spokojne tło pod bujny potok faustowskich monologów; uwypuklić myśl Goethego, tętniącą w surowym rytmie poematu: podkreślić barwę djalektyczno-filozoficzną widowiska, nie gubić się w operowej pstrokaciźnie dekoracji w parwenjuszowskim »przepychu« wystawy...

Tymczasem Teatr Narodowy pokazał nam »Fausta« właśnie w takiej chybionej, niesmacznej, bezmyślnej oprawie. Dekoracje Drabika dowiodły, że i »mistrzowie« mogą się pośliznąć na trudnych drogach sztuki, dając rzeczy bez składu i ładu, mieszaniny kiepskiego realizmu z lekką pianą łatwej fantastyczności.

Pośród niefortunnych kitschów dekoracyjnych, wyróżnia się może tylko obraz w katedrze, prosty i ładny.

Węgrzyn pięknie recytował wiersz Zegadłowicza, ale recytacja wcale nie harmonizowała z realistycznym szablonem interpretacji, zbliżonej do romantyczno-idealistycznej maniery naszych Konradów i Kordjanów. Najwięcej sympatycznej prostoty miała pani Niedzielska (w roli Małgorzaty).

Przekład Zegadłowicza, odznaczający się niewątpliwie walorami poetyckiemi, dziwnie nie harmonizował z dziełem Goethego. Rytm przekładu zupełnie nie oświecał, ani nie podnosił wartości ideowych »Fausta«. Zatraciły się gdzieś pointe'y myślowe i zdania rozpłynęły się we frazesach. »Faust« stał się widowiskiem rozwlekłem, bez większych zalet teatralnych. Najlepsze stosunkowo były epizody w katedrze, więzieniu i na ulicy (scena modlitwy).

Na drugiej scenie miejskiej (Teatr »Letni«) grano w tym czasie »Cherubina i piekło« Germana. Utwór ten, jedna z pereł grafomanji warszawskiej, upadł po kilku spektaklach. Krytyka i publiczność nie dała się uwieść autorowi »Iwonki«.

Teatr stołeczny zrehabilitowała scena Teatru im. Bogusławskiego: »Rewizor« Gogola. Widowisko zmontowane z nieomylnem wyczuciem walorów komedjowych Gogola, utrzymane na granicy groteski i komedji. Zelwerowicz, Justjan, Kurnakowicz, Białkowski (b. dobry w roli charakterystycznej), Drabikówna i inni stanowili zespół zgrany i niebylejaki.

Dobrze zmontowane przedstawienie mieliśmy także w Teatrze Polskim: »Król« Flersa. Jakkolwiek tutaj bardziej wybijali się roliści — całość wypadła składnie i żwawo. Marzyński, jak mu to wszyscy przyznali, »królował« wraz z p. Kamińską pełną uroku i urody na afiszu i na scenie.

»Maszyna parowa« czeskiego autora Svobody posiada parę doskonałych momentów groteskowych, nowocześnie pomyślanych efektów. Wprawdzie utwór zyskałby na pełniejszej kondenzacji treści, na skreśleniu pewnych djalogów przydługich i bladych, ale mimo tych drobnych usterek »maszyna parowa« jest zabawna i świeża. Przydałoby się tylko zniżenie o jednę oktawę wysokości tonu mówiących: chwilowo za dużo krzyku na scenie. Wyraźniejsze zmechanizowanie akcji, nadanie jej »maszynowego« rytmu nadałoby smaku sztuczce Svobody. P. Zbucki w roli »maszyny parowej« czyli despotycznego »filara rodziny«, automatycznie spełniającej jego zachcenia, stanął słusznie na pograniczu ciepłej groteski. Był wyborny.

Dyrekcja Teatru im. Słowackiego projektując uczcić pamięć A. Fredry tygodniowym cyklem wieczorów — wystawiła miłą komedję »Przyjaciele«. Oprawę dano tradycyjną, ale w dobrym tonie, skromną, schludną, sympatyczną. P. Niewiarowicz należy do rzędu artystów miarkujących umiejętnie t. zw. porywy uczucia; spokojem, czystością dykcji zasłużył na szczere oklaski. Podobnie p. Kossowska. P. Leliwa znajduje tak żywe echo na widowni, że nasze uznanie może być tylko »urzędową« pieczątką na dokumencie jego popularności.

Jarosław Janowski.

KRONIKA

— **W poznańskim Teatrze Nowym** wystawiono ostatnio **„Źle kochaną“ Jacinto Beneventa**, hiszpańskiego laureta Nobla, znanego w Krakowie dzięki dyr. Trzcińskiemu, który wystawił jego groteskę »Krąg interesów«, pamiętną przez świetną kreację ś. p. Bończy. Trzy dzieła Beneventa zostały przełożone na język polski przez Izabelę Lutosławską i wydane przez Wydawnictwo Polskie w Poznaniu.

— **„Żeglarz“ Szaniawskiego** został wystawiony w Poznaniu w reżyserji Szpakiewicza.

— **Cykl odczytów o Żeromskim** urządziło ruchliwe Koło Polonistów w uniw. poznańskim.

— **Wacław Grubiński** złożył Teatrowi Narodowemu tragedję p. t.: »Księżniczka żydowska«, Premjera odbędzie się po zejściu z afisza sztuki Morstina »W cichym dworze«.

— **Jubileusz pięćdziesięciolecia pracy naukowej prof. Smoleńskiego,** badacza dziejów polskich, odbył się w uniwersytecie warszawskim.

— **Przekład „Historji Literatury Niepodległej Polski“ prof. Ign. Chrzanowskiego** został wydany nakładem wydziału humanistycznego uniwersytetu kowieńskiego.

— **Teatr Stanisławy Wysockiej „Rybałt“** wyjeżdża na objazd kresów wschodnich.

— **Dantego „Pieśniarz“** (Canzoniere) wyjdzie w najbliższych tygodniach w tłómaczeniu polskiem dra Juljusza Feldhorna, nakładem wydawnictwa »Italica«.

— **„Sad w środku miasta“,** powieść Janusza Stępowskiego, ukaże się z początkiem kwietnia, nakładem księgarni Uzarskiego w Rzeszowie.

— **Dwa odczyty o teozofji.** P. Helena Bołoz-Antoniewiczowa z Warszawy wygłosi w dniu 2-go i 3-go b. m. o godz. 7 wiecz. w sali Tow. metapsychicznego w Krakowie (ul. Studencka 12), dwa odczyty z dziedziny teozofji i okkultyzmu.

— **Z powodu artykułu prof. Sinki:** »Teatr, który stoi pustką i teatr, który będzie pełny«, zamieszczanego w 1-szym numerze »Gazety Literackiej« wywiązała się żywa polemika, w której zabierali głos: K. H. Rostworowski w »Głosie Narodu« z dnia 8 lutego i Wiktor Brumer w »Życiu teatru«, Nr 8 z dnia 21 lutego b. r. W dzisiejszym zaś numerze naszego pisma na str. 2 zamieszczamy artykuł Cezarego Jellenty p. t.: »Epidemja stylowości«.

— **Wyjaśnienie niezrozumiałego tekstu Słowackiego.** P. Tadeusz Józef Wójcicki nadsyła nam wyjaśnienie niezrozumiałych dotychczas dwu wierszy w »Testamencie moim« J. Słowackiego: »A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, — Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec«. Jest to porównanie, wzięte ze Starego Testamentu (Księgi Jozuego, R. X. w. 11 in.): »A gdy uciekali przed synami Izraelowymi, a byli na zstępowaniu z Bethoron, Pan spuścił na nie kamienie wielkie z nieba aż do Azeki: i pomarło ich dalekowięcej od kamienia gradowego, niż co je mieczem pobili synowie Izraelowi« (przekład Wujka). Słowacki porównuje więc ludzi, jako narzędzia śmierci do kamieni, narzędzi śmierci, rzucanych przez Boga.

KRONIKA ZAGRANICZNA

— **15.000 listów miłosnych.** W Hotel Drouot, wystawioną będzie na sprzedaż »potężna kollekcja« 15.000 listów miłosnych pani Juliette Drouet do Victora Hugo. Francis de Miomandre użala się w »Nouvelles Litteraires« nad męczeństwem tej kobiety, która musiała codziennie napisać list do swego sławnego kochanka. Zapytuje też zasadniczo, czy wolno opublikowywać listy prywatne...

— **3 razy więcej dzieł** z zakresu wiedzy, niż z zakresu literatury, ukazuje się corocznie we Francji. W r. 1925-tym wydano tam 2.566 dzieł literackich, a 6.847 innych książek.

— **Ukazało się nowe wydanie „L'Amour libre"** p. Charles Alberta, autora dzieł »Co to jest sztuka«, »Polityka i socjalizm«, i »Sztuka a społeczeństwo«.

— **Powieść Daniela Guerin** »L'enchantement du Vendredi Saint«, jest bardzo szczęśliwym debiutem tego młodego pisarza. Powieść ta we formie spowiedzi, jest prawdopodobnie jego autobiografją.

— **P. Jean Barreyre,** powieść p. t.: »Le Navire Avegle« jest tak podobna do powieści Conrada, że nasuwa się powątpiewanie, czy autor jej miał kiedykolwiek w rękach dzieła tego ostatniego, bo chyba samby się zorjentował, że snadnie poczytaną być może za plagjat.

— **O miłostkach Chateaubrianda** pisze Viktor Giraud w książce p. t.: »Passions et romans d'autrefois«.

— **„Cywilizacja murzyńsko-afrykańska".** Dzieło popularne pod powyższym tytułem wydał Maurice Delafosse.

— **„Literatura ośmnastego wieku"** p. R. P. Brou, poświęcona jest Volterowi i Encyklopedji.

— **O czasach studenckich Goethego,** spędzonych w Alzacji, pisze Jean de Pauge w książce p. t.: »Goethe w Alzacji«.

— **„La revue Haïti".** Pod tym tytułem rozpoczęto na wyspie Haïti wydawnictwo przeglądu artystycznego, literackiego i politycznego tej egzotycznej dla nas krainy. Równocześnie przygotowuje się tam antologję stu lat poezji Haïti.

— **Czarna poezja.** Zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą »Le Negro poetic league of the World«, które postawiło sobie za cel zebranie wszystkich poezyj murzyńskich całego świata.

— **„O wynalazku druku w Chinach i jego rozpowszechnianiu się na zachód".** Pod tym tytułem wyszła bardzo ciekawa książka, barwnie napisana przez Tomasza F. Carter.

— **Interesujące sprawozdanie dla bibljofilów** o pierwszych wydaniach arcydzieła Daniela Defoe »Robinson Crusoe« (1719—1731) wydał Henryk Clinton Hutchins.

— **„Four vital subjects"** Swedenborga wyszły w Nowym Jorku, w pięknem, luksusowem wydaniu.

— **Czem jest sztuka?** Książkę na ten temat pod tytułem: »The science of playwriting« napisał M. L. Malewiński.

— **Oliver M. Sayler,** autor świetnych książek »The russian theatre« i »Our american theatre«, napisał nowe dzieło pod tytułem: »W artystycznym teatrze moskiewskim«.

— **Człowiek jest głupszy od zwierzęcia!** Tak twierdzi prof. Ch. Richet w książce pod tytułem: »Idiot Man« (»Idjota«).

— **Dokoła tajemniczej Atlantydy** krążą wciąż zarówno powieściowe, jak naukowe dociekania twórców. Ostatnio Lewis Spence wydał dwie książki na ten temat: »Atlantyda w Ameryce« i »Problem Atlantydy«.

— **Autor dramatu „Warjat",** Channing Pollock, napisał ostatnio dramat pacyfistyczny pod tytułem: »Nieprzyjaciel«.

— **O życiu Marji Antoniny** i jej dworu, napisał dzieło Piotr de Nolhac z Akademji francuskiej.

— **100 sonetów o morzu** współczesnych poetów angielskich wydała Alicja H. Bartlett.

— **„Cztery lata na białej północy".** Pod tym tytułem wydał swe wspomnienia Donald B. Macmillan. Książka ta posiada wielką wartość naukową.

— **Biskup i chmury.** »Książkę o chmurach« napisał biskup amerykański, Wiljam A. Quayle.

— **„Chrystus Indjan".** Swe wspomnienia misyjne opisuje w książce pod tym tytułem dr E. Stanley Jones.

— **„Joanna d'Arc — Dziewica Francji".** Kompletną biografję Joanny d'Arc napisał Albert Bigelov Paine. Jest to dzieło o niezmiernej wartości, oparte na najnowszych dowodach i badaniach historycznych. W załączeniu znajdujemy listy Joanny d'Arc.

— **Po Matyldzie — Ernestyna.** Zofja Cleugh, autorka »Matyldy«, rozchwytywanej przez Amerykanki, napisała nową powieść, tym razem o Ernestynie.

— **Masefielda,** prozaika i poety amerykańskiego, wyszło wydanie zbiorowe w czterech pięknie wydanych tomach.

— **Poemat o indyjskich wojnach** napisał ceniony poeta epiczny, Jan G. Neihardt.

— **O swej podróży poślubnej w Fordzie** po Stanach Zjednoczonych, napisała książkę Stella Benson. Niewiadomo, czy autorka chciała zareklamować automobile Forda, czy miodowe miesiące.

— **„Zwierzęta-bohaterzy Wielkiej Wojny".** Nadzwyczaj interesującą książkę pod powyższym tytułem napisał Ernest Harold Baynes. Krytyka zgodnie orzekła, że tak napisać o zwierzętach mógł tylko Baynes — przysłowiowy już w Ameryce ich przyjaciel.

— **Sztuka A. Edwarda Newtona.** »Dr Johnson« cieszy się w Ameryce wielkiem powodzeniem.

— **Lincoln, Roosevelt i św. Jan** zeszli się razem przy biurku lorda Charnwood, który o nich napisał — naturalnie poszczególnie! — trzy ciekawe książki.

— **Leon Crane** napisał piękne dzieło pod tytułem »Indjanie w zaczarowanej pustyni«.

— **Autor „Polaków",** Jakób Levy, napisał nową powieść pod tytułem »Pół-żydzi«.

— **„Ty nie oszukasz więcej!...",** n. b.: ty — mężczyzno, woła Lydie-Henry Lacaze w swej książce, napisanej specjalnie dla niewiast.

DZIAŁ KRYTYCZNY

Beata z Wolskich Obertyńska: »Gitara i tamci«. Nakład Bibljoteki Medyckiej, 1926.

Trzynaście nowel związanych nikłym wątkiem opowieści o losach gitary. Ramy zakreślone szeroko; obejmują wiek zgórą od r. 1800 po czasy najnowsze.

W pracowni instrumentów muzycznych w Paryżu zrobił mistrz Błażej najdoskonalszą gitarę. Pracował nad nią miesiące, by wreszcie umierając w Wielki Piątek obdarzyć ją swą duszą. Z pracowni Błażeja dostaje się gitara do pełnej pijackiego gwaru pracowni malarskiej, gdzie nauczono ją hałaśliwie wtórować bulwarowym piosenkom. To też zdziwiła się sama sobie, znalazłszy się po latach w izdebce Dorki, że umie jeszcze towarzyszyć cichutkim brzękiem sentymentalnym balladom 18-letniego dziewczątka. Odnalazłszy zaś przy tej »pranym perkalikiem i świeżą wodą pachnącej dziewczynie, swą spłoszoną i odbiegłą duszę« wierną swej pani pozostaje i w romantycznej a tragicznie zakończonej wędrówce.

Ze ścian oberży patrzy teraz gitara przez lat 3 na przesuwających się kolejno podróżnych. Martwy i senny ten okres przerywa przybycie trupy komedjantów. Porwana przez jednego z nich gitara, spędza znów długie lata w wędrownej budzie, stając się świadkiem wzruszających i pełnych grozy wydarzeń. Po wypadkach wielu i zawikłaniach odnajdujemy ją kolejno, w izbie tandeciarza, w domostwie najlepszego z cyrulików, a wreszcie zagubioną na drodze polskiej, na którą wypadła z karety, uwożącej do kraju rosyjską księżnę. Odtąd zmienia gitara wielu jeszcze właścicieli od rozkochanego w pannie z pałacu młodzieńca do zbrodniczego lokaja. Z celi więziennej do buduaru modnej szansonistki. Aż wreszcie z przedziwnego muzeum Dziwo-Pani dostaje się do nowo-założonego domu, gdzie wszystko musi mieć imię. Tam to ochrzczona »mruczącem jak kot« mianem Barbary wspomina odległe koleje. I tam to wreszcie opuszcza ją, zaklęta w niej dusza, wyzwolona w momencie, gdy uderzyło po raz pierwszy serce dziecka, które przyszło na świat »jednej letniej, jak kadzielnica dymiącej nocy«.

Wszystko, czemu w wędrówce swej towarzyszy gitara, to zestawienia znane, pomysły banalne, z łatwym do przewidzenia końcem, często nużące.

A jednak książka ta posiada bezsprzeczny urok, który rozsnuwa na kartach jej styl dyskretny, zawsze odpowiednio tonowany, choć nieraz zbyt kobiecy, zbyt lubujący się w pięknych słowach.

On to wraz z doskonale zawsze dostrojonemi minjaturami, tworzy całość przedewszystkiem — wytworną. *H. M.*

Francis Jammes: Ma France poétique.

Czy idąc wczesnym, jesiennym porankiem brzegiem zżółkłego rżyska, przymglonego jeszcze strzępami ulatujących przed słońcem mgieł, odczuliście kiedy nagle wy, którzy lat przekraczacie południe, że otula was wraz z rzeźwem ciepłem słonecznych promieni słodkie zadumanie o wiośnie, o młodości?

Czy nie wróciliście wtedy drogą, którąście nadeszli, aby w dali omglonej raz jeszcze spotkać swe lata minione?

Takich uczuć doświadczać będziecie, gdy w ciszy popołudniowej ogrodu pełnego blasku otworzycie książkę Jammes'a. Będzie ona słoneczna i pełna światła, jak leżący przed wami ogród i pełna słodyczy cichej i głębokiej.

Nie będzie w niej nic więcej na pozór, jak to, czem obdarzał was zawsze. Te ciche, dalekie od gwaru miast ustronia jego Francji, Francji, którą od północy zamyka wartki nurt Garonny, którą już syci gorący koloryt Hiszpanji, Francji z Lourdes i gór śnieżnych, znaczonych błękitem.

Ta sama Ziemia, ziemia miast i wsi, gór i płaskowyży, ogrodów i cmentarzy, która się nam jawi, jak wielki prymityw, złobiony szerokiemi, lecz precyzyjnemi gestami Jammesa.

A jak wiele w nim przytem prostoty! Jak umie podjąć z pyłu słowa sponiewierane, zbanalizowane, ile serca potrafi tchnąć w drobiażdżki codzienne, obok których przechodzimy pogardliwie...

Uczy nas kochać »piękno, którem Bóg obdarza rzeczy zwykłe«.

Wszystko jest niby zwykłe. Krajobrazy szerokie a rzadkie, dom jego, ognisko, dzieci, jego wytarta kurtka strzelecka — wokół ludzie, których kocha — a nad nim Bóg, który mu się jawi przez biel skrzydeł dziecinnych, przez wzniesione ręce modlących i przez mgłę wietrzyka tłukącego się bezradnie w wąwozie ulicy.

Jest więc jego »Francja« niby ogród przed nami otwarty, pełen kwiatów i twardych owoców, zrodzonych z ziemi bogatej. A człek, ćmiąc fajkę, patrzy na to wszystko z progu swego domu spokojny, z rozjaśnionem obliczem.

Przymykamy oczy przed ostrym blaskiem słońca i przed nami jawi się miraż minionych dni. Uśmiechamy się doń, jak Jammes spokojnie...

Tak. To jest nietylko prawdziwy poeta, to jest poeta wyjątkowy. Umiał zachować radosną świeżość młodości i umie wywołać ją przed nasze stęsknione oczy.

I umie mówić o niej i o szczęściu jak nikt inny, będąc nietylko wielkim poetą, ale — co rzadsze — poetą szczęśliwym.

H. W.

Jerzy E. Płomieński: Problem pracy w »Przepióreczce« Żeromskiego. Refleksje krytyczno-polemiczne. (1926). Ciekawe studjum o »Przepióreczce«, którego lwią część stanowią rozważania krytyczne zagadnienia pracy u Norwida i Brzozowskiego, stawia Przełęckiego w zupełnie innem, oryginalnem oświetleniu. Autor broszury nazywa go nie »męczennikiem pracy«, lecz »bankrutem pracy« i udowadnia to twierdzenie licznemi, silnemi argumentami. Przytacza głosy krytyki polskiej o ostatniej sztuce Żeromskiego, przyczem mówi też o »Szanso-Pansach krakowskiej publicystyki literackiej« z »Głosu Narodu« i cytuje wyrażenia, jakiemi walczono (?) z tytanem.

W. Z.

Jalu Kurek: »Upały«. (Nakład »Almanachu Nowej Sztuki«. Warszawa, 1925, str. 27). Szkoda, że spora doza pozy przesnuwa wiersze Jalu Kurka. Gdzie jej mniej, tam wyczuwamy wartościową poezję, pełną ważkich zawikłań, których motorem jest bieżąca godzina. Zgrabna budowa wewnętrzna wierszy, śmiałe, nieosłabione lirycznością porównania, pełne asonanse, zwarta rytmika, »Szkarłatna miłość« przypomina Brunona Jasieńskiego. To jedyne podobieństwo, jakie wyraźnie zachodzi. Pozatem oryginalność, tylko — da capo — za wiele niemiłego patosu pozy. Dlatego za najlepszy wiersz w »Upałach« uważam wiersz »Do Regi«. »...Te dziesięć nieśmiertelnych strof prostych...« Tak! nieśmiertelną może być tylko prostota. Dlaczego o tem wciąż, razem z autorem »Upałów«, zapominamy? *W. Z.*

MUZYKA

KRONIKA MUZYCZNA

W lutym na ogół ruch koncertowy słabszy.

Z pianistów usłyszeliśmy p. J. Śliwińskiego, który wystąpił z programem nieco innym, niż zwykle. Wprowadził bowiem do swego repertuaru utwory kompozytorów współczesnych. Próba ta wypadła na ogół nie najlepiej, co zresztą sam wykonawca spostrzegł i co uwzględnił, zestawiając program drugiego swego recitalu. Gros jednak programu wykonał mistrz w usposobieniu, w jakiem nie mieliśmy sposobności słyszeć go od dawna.

Jako zakończenie cyklu »koncertów mistrzowskich«, urządzanego przez Biuro koncertowe p. E. Bujańskiego, wystąpił Kwartet drezdeński, zespół europejskiej sławy, bawiący w Krakowie nie po raz pierwszy.

Ze śpiewaczek mieliśmy sposobność usłyszeć Olgę Olginę. Utalentowana ta artystka rozporządza pięknym głosem i poważną techniką koloraturową. Podnieść należy, że wprowadziła do programu pieśni współczesne polskie, jak: Szymanowskiego »Zulejka« i »Pieśń dziewczęcia u okna« (na bis Lipskiego »Szczęście przy drodze«), utwory pierwszorzędnej wartości, niechętnie jednak naogół śpiewane ze względu na trudności techniczne.

Na porankach symfonicznych słyszeliśmy na pierwszym jako dyrygentów pp. Górzyńskiego i Gablenza. Ten ostatni prowadził między innemi cykl własnych utworów p. t.: »Minjaturki«, kompozycje drobne, zgrabne jednak w ujęciu. Instrumentowane z widoczną intuicją barw orkiestralnych, odbija się w nich jednak znaczny wpływ R. Straussa (zwłaszcza »Symfonja alpejska«).

Drugi poranek symfoniczny pod batutą znanego dyrygenta, p. Mazurkiewicza, obejmował w programie utwory Czajkowskiego. Młoda pianistka, p. Berkwitz (uczennica prof.). Łabuńskiego), jako solistka, wykazała znaczną technikę fortepianową.

Czwarty wieczór Towarzystwa muzycznego wypełnił odczyt o twórczości Karola Szymanowskiego, wygłoszony przez prof. Jachimeckiego. Ilustratorką była p. Marek-Onyszkiewiczowa, interpretując nader trafnie pieśni Szymanowskiego.

W Instytucie muzycznym odbył się następny wieczór z cyklu kameralnych, poświęcony twórczości R. Schumanna.

Bardzo ciekawym był koncert »mechaniczny« w Instytucie muzycznym. Mieliśmy sposobność usłyszeć fortepian mechaniczny, odtwarzający nader subtelnie grę różnych pianistów światowej sławy.

Podnieść należy również zainteresowanie się muzyką współczesną wśród młodzieży. Na tygodniowych zebraniach sekcji muzyki współczesnej wykonuje się utwory znanych i nieznanych kompozytorów współczesnych, polskich i zagranicznych.

W. P.

SZTUKI PLASTYCZNE

— **„L'Art Contemporaine",** to nazwa nowo otwartej galerji obrazów w Paryżu. Posiada ona wspaniałe okazy nowoczesnego malarstwa, między innemi płótna Matissa, Picassa, Vlamincka, Utrilla, Suzanne, Valadon, Pascin'a, Friesza, Kislinga i innych.

— **Dzieło Ernesta Galla** p.t.: »Budownictwo gotyckie we Francji i w Niemczech (Lipsk), poświęcone jest architekturze religijnej XI-go i XII-go wieku.

— **Problemy nowego malarstwa** europejskiego po kubizmie i ekspresjonizmie porusza Franc Roh w księdze p.t.: »Nach Expresjonismus«. Najnowszy prąd w sztuce, którego prekursorem jest Henri Rousseau, nazywa autor »realisme magique«.

Gustave Geffroy: Velasquez.
Charles Groeber: La Palestine, l'Arabie, et la Syrie (304 grav. Cart.).
Walter Friedlaender: Claude Lorraine.
Emil Waldmann (konserwator muzeum w Bremie): Malarze francuscy XIX wieku.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

Nr 1 „Ruchu Literackiego", które to wydawnictwo rozpoczęła firma Gebethner i Wolf w Warszawie — zawiera artykuły: „Twórczość piśmiennicza a materjał pisarski" — Wilhelma Bruchnalskiego, „Ruch Literacki" — Zygmunta Łempickiego, „Nieznany list Mickiewicza do Zygmunta Krasińskiego". Szereg recenzyj i obfity dział bibljograficzny.

Nr 8 „Życia Teatru" zawiera polemikę z K. H. Rostworowskim na temat kryzysu teatralnego, „Jasełka" Jul. Starzyńskiego, „Czy trafna djagnoza" J. Pańskiego, „Krytykę i bałwochwalstwo" Jul. Sawickiego oraz Kronikę.

Styczniowy Nr miesięcznika „Drogi" zawiera szereg artykułów politycznych, dział recenzyjny, oraz dział bibljograficzny.

Na Nr 31 „Świata i Prawdy" składają się obok innych artykuły: „Mickiewicz i Słowacki we Włoszech. — Michała Asanki-Japołła, opis obchodu setnej rocznicy śmierci Karpińskiego, oraz wiersze, nowele itd.

Trzy ostatnie Nry „Mównicy Publicznej" zawierają między innemi artykuły: „Książka w Polsce", „Ćwierćwiecze teatru lwowskiego" — dr K. Nittmana, „Zalew podręcznikami szkolnemi", „Skutki redukcji w szkolnictwie", „Umuzykalnienie a czytelnictwo" i in.

Ilja Ehrenburg „Życie i śmierć Kurbowa" wyd. „Ateneum", Lwów.

Beata z Wolskich Obertyńska „Gitara i tamci" wyd. M. Arct., Lwów.

J. Śnieżek „Znaczenie snów dla życia człowieka", Kraków.

Metodjusz Romanow „Duchowe skarby puszczy białowieckiej" wyd. Książnicy wiedzy duchowej, Katowice.

Władysław Kołodziej „Królestwo Ducha" wyd. Książnicy wiedzy duchowej, Katowice.

„SEMAFOR"

Gdy w ubiegłym roku tłumy Krakowian ciągnęły do Teatru Miejskiego codziennie przez trzy tygodnie, by podziwiać »Niebieskiego ptaka«, arcydzieło sceniczne estetyki barwy, dźwięku i słowa, niezapomniany »kabaret« rosyjski — wtedy niejeden z nas z serdeczną tęsknotą westchnął za czemś podobnem — u nas, w Polsce. Tymczasem przez długi czas staliśmy przed tą smutną rzeczywistością, że Polska, na wysokim poziomie swej kultury, z podscenki kabaretowej nie potrafi uczynić pięknej »areny Muz«.

Dopiero parę miesięcy temu Lwów wykrzesał iskry prawdziwego piękna w ramach małego teatrzyku. »Semafor«, który w tych dniach, w wędrówce po Polsce, zawitał do Krakowa na kilkanaście występów, to właśnie refleks »Niebieskiego ptaku«, rzucony na tło naszej inicjatywy artystycznej. Nieuchwytny czar słowa, muzyka barw i kolory dźwięków, spojone na kanwie oryginalnej i cennej twórczości literackiej, dają subtelny i pełen poezji całokształt. Walory wykonawców dodają nieoddzielnych wartości zewnętrznych.

Nie wątpimy, że »Semafor« z Krakowa wyniesie tak dobre wspomnienia, jakie my zachowamy w pamięci po jego występach. *W. Z.*

KŁAMSTWA W ŻYCIU PUBLICZNEM

Rozpoczynając wydawnictwo »Gazety Literackiej«, liczyliśmy się oczywiście z krytyką i gotowi byliśmy do rzeczowej polemiki na temat literackich i artystycznych naszych założeń. Tymczasem, oprócz głosów rzeczowych, z któremi zawsze liczyć się będziemy, odezwał się także pismak z »Gońca Śląskiego«, niejaki Kl. Hrabyk, który w artykule, pełnym inwektyw i obelg, zaczepia nas z motywów politycznych i posuwa się do oskarżeń, wręcz niesłychanych.

Z tym, oczywiście, nie będziemy wogóle polemizowali, a należytą odprawę otrzyma on gdzieindziej, wnieśliśmy już bowiem do właściwego sądu karnego skargę sądową i ze spokojem, z którego nie zdołają nas wyprowadzić ewentualne dalsze napaści, będziemy oczekiwali wyroku w tej sprawie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. St. Rych., Bydgoszcz. W nadesłanej nam nowelce znać talent, choć narazie konkretny sąd byłby zawczesny ze względu na młody wiek autora. Dużo jeszcze trzeba popracować, a specjalnie nad stylem i ortografją.

P. S. S., Wieliczka. Naprzód dorośnij młodzieńcze — a potem pomówimy o poezji.

Pani M. w Ż. Niestety »Sulamit« nie znajdzie gościny...

P. prof. A. C.-S. we Lwowie. Przysyła pan wiersze do druku, a czy prenumeruje pan »Gazetę Literacką«?

P. K. I. w Toruniu. Erotyzm pański jest zbyt wybujały. Wierszy nie zamieścimy.

Autorowi „Czardasza" i „Nudy", Kraków. Jest myśl i jest polot — zato forma bardzo, bardzo słaba.

P. J. P., Kraków XXII. Dziękujemy za chęć współpracy. Może w najbliższej przyszłości skomunikujemy się z panem.

AMERYKAŃSKI INFORMATOR O POLSCE

— **Amerykański informator o Polsce.** Ogromnie zasłużone wydawnictwo nowojorskie »Poland«, miesięcznika informacyjnego o całokształcie życia gospodarczego i kulturalnego naszego państwa, wydało świeżo nadzwyczaj wartościową publikację, która niewątpliwie bardzo dodatnio przyczyni się do propagandy polskiej na drugiej półkuli. Publikacją tą jest informator o Polsce pod tytułem: »A Handbook of Poland«(»Podręcznik o Polsce«). W treściwem i zwartem przedstawieniu znajdujemy w informatorze tym wszelkie dane, które cudzoziemcom potrafią przedstawić Polskę w odpowiedniem świetle.

KINO „NOWOŚCI"
wyświetla dziś i codziennie
wspaniały dramat w 10 aktach
TEN — ZA KTÓRYM SZALEJĄ KOBIETY
z niezrównanym
RUDOLFEM VALENTINO
w głównej roli.

NOWOŚĆ WYDAWNICZA!
ILJA ERENBURG
ŻYCIE I ŚMIERĆ
MIKOŁAJA KURBOWA
w autoryzowanym przekładzie
BRUNONA JASIEŃSKIEGO
Głośna, sensac. powieść autora „Julja Jurenity", przedstawiająca w jaskrawych i nowych barwach byt Rosji sowieckiej w najcięższych latach 1919—1920. Bohaterami książki są: szef moskiewskiej czerezwyczajki, oraz najwybitniejsi działacze sowieccy. — Objętość książki 23 ark. Cena 4·— złote. — Skład główny u wydawcy:
Towarzystwo wydawnicze
„ATENEUM" Spółka z ogr. odp.
LWÓW, UL. ZIMOROWICZA 5.
DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH!

Z EKRANU

„Variété" z Jannigsem i Lyą de Putti w „Sztuce".

Od czasu „Nibelungów" z r. 1922/3, dzięki którym zdołali Niemcy uczynić wyłom w postanowieniu traktatu wersalskiego, zabraniającem Niemcom sprzedaży filmów zagranicę, uczynił film niemiecki dalszy, godny podziwu i zazdrości krok naprzód. „Variété" jest arcydziełem 90%-em, zbudowanem na świetnych epizodach o pierwszorzędnej wartości fotogenicznej. Pokazuje ludzi żywych, nie wstydzi się pokazać grozy ludzkich namiętności. Przy całym swym brutalnym realizmie obraz oparty jest na założeniach uczciwego stosunku do życia.

Dupont jako reżyser, Jannings, Lya de Putti i cały zespół ich partnerów — to koncert niezrównany. Nazajutrz po premierze »Variete« w Berlinie został Dupont zasypany najkorzystniejszemi ofertami amerykańskiemi. Zdołały go one wreszcie skusić do opuszczenia Niemiec.

Ze szczegółów zwrócićby można uwagę na charakterystyczną dla Janningsa, a w tym filmie i dla jego partnerów, powiedzmy wprost: szkołę gry pleców, którą to metodą wiele świetnych uzyskano efektów.

„Upiór w operze" z Lon Chaneyem (kino »Nowości«).

Nie każda powieść — choćby nawet autora tak senzacyjnych pomysłów, jak Gaston Leroux — nadaje się bez »ale« dla ekranu. Film »Upiór w operze« dowiódł tego w zupełności. Czytając tę powieść, nie dostrzega się w konstrukcji jej tych błędów, jakie uwypuklają się rażąco na ekranie. Kto wie, czy pod względem budowy film tej samej nazwy, wyświetlany przed wielu laty, nie przewyższał swego »drugiego wydania uzupełnionego«. Zato szczegóły opracowane znakomicie nie pozwalają widzom zorjentować się w brakach scenarjusza. Niektóre momenty gry Lon Chaneya wprost wstrząsające, a zdjęcia z podziemi opery w mistrzowski sposób potęgują nastrój na widowni. »Upiór« na koźle karety, powożący rozszalałemi szkapami, jest rzeczywiście djabelski.

„Korsarz" z Paulem Richterem (kino »Warszawa«).

Jeszcze jedno arcydzieło Ufy, która obdarza świat obrazami tylko we wielkim stylu. Paul Richter, przepyszny Zygfryd z »Nibelungów« i Salwatore, (R. Rogge) znany, jako Dr Mabuze, tu znowu porywa ją nas patosem swoich spiżowych postaci. Dziki, burzliwy żywot korsarzy kipi w tym filmie, jak w ogromnym kotle. Sceny takie, jak walka dwu przyjaciół na noże, lub bitwa z żołnierstwem, przejmują dreszczem. W trzech ostatnich aktach triumfuje świadoma celu i twórcza reżyserja.

„Cud wilków".

Posypały się na Kraków dobre obrazy, jak z rogu obfitośic, co jest dowodem wytężonej emulacji krakowskich kin, ale emulacji w szlachetnym stylu. Sprowadzenie »Cudu wilków«, tej chluby kinematografji francuskiej jest wielką zasługą »Uciechy« i »Wandy«. »Cud wilków« wykonany zgodnym wysiłkiem świetnej reżyserji i rządu francuskiego, oraz niezmiernym nakładem kosztów, słusznie uważany jest we Francji za wielki narodowy film, który w Paryżu wywoływał burzę frenetycznych, wznieconych wzruszeniem patrjotycznem oklasków. Zarówno gra niektórych aktorów (choć w obrazach z wielką wystawą mniejszą odgrywa ona rolę), jak i logiczna, świadoma celu praca reżyserów są tu bez zarzutu. Bitwa pod Monthlery i szturm do Noyon znakomite. — Natomiast — przy porównaniu maestrji francuskiej z niemiecką — czuje się brak tego wiecznego »eksperymentu«, tej uporczywej dążności do szukania nowych dróg dla filmu, jaką podziwiamy zawsze w arcydziełach niemieckich. Przytem obsada ról naogół nie idzie w parze z ogromem wystawy.

KINO WANDA
CUD WILKÓW
(Le miracle des Loups)
Narodowy film francuski. — Największy film francuski wszystkich czasów. —
Premjera w Operze francuskiej w obecności prezydenta Francji. Premjera w Warszawie pod protektoratem ambasadora Francji.
W Krakowie od soboty, 27. II.
w kino Wanda

TANIO!
NADESZŁY JUŻ
najmodniejsze i najpiękniejsze
PŁASZCZE — KOSTJUMY — UBRANIA — WEŁNY — KRAWATY — KAPELUSZE i t. d.
DLA PAŃ, PANÓW I DZIECI
„APROWIZACJA MIAST"
DOM TOWAROWY
w KRAKOWIE
RYNEK GŁ. L. 34, I P.
(nad Hawełką)
Dogodne warunki kredytowe
WIOSNA WIOSNA
TANIO!

Redaktor naczelny i wydawca: Jerzy Braun. — Redaktor odpowiedzialny: Witold Zechenter.
Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem Stanisława Ziemiańskiego.